“Podróże z moją kotką”. O literaturze i zwierzętach.

Rozmowy o książkach, które nie przemijają

Aleksandra Ziółkowska-Boehm z kotką Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

„Podróże z moją kotką” przeczytałam jednym tchem. Skąd pomysł na książkę, której główną bohaterką została kotka Suzy?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

– Mając w dzieciństwie psy, patrzyłam na koty życzliwie, ale trochę z góry. Czekoladowo-złota kotka Suzy, weszła w życie moje i mojego męża trochę nieoczekiwanie, podczas naszego pobytu na kontrakcie w Houston w Teksasie. Suzy, takie imię jej

nadał mój mąż Norman, okazała się niezwykle inteligentna, pojętna, sprytna i przymilna. Oczekiwała i wymagała uczuć, które też sama całym sercem nam oddawała. Zaskoczona swoimi spostrzeżeniami, tymi jakby nie-kocimi, bardziej psimi reakcjami Suzy, mówiłam i pisałam o niej do znajomych i przyjaciół, aż postanowiłam napisać książkę.

Koty w literaturze mają swoje miejsce. Jest kot Behemot z „Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa. Jest legendarny paryski kot, przynoszącego codziennie pewnej wdowie rybę złowioną w Sekwanie. Przykładów obecności kota w utworach zarówno poetyckich, jak i prozatorskich jest dużo. Nigdzie jednak kot nie został potraktowany w tak antropomorficzny sposób, jak pełnoprawny partner człowieka, z indywidualnością, charakterem, odrębnym sposobem bycia, humorami. Czy świadomie kreowała Pani literacki świat Suzy i innych zwierząt w taki właśnie sposób?

– Obserwując Suzy, zdumiewała mnie jej indywidualność, jej uczuciowość, reakcje na różne sytuacje. Miała ona swój świat, wrażliwość, wymagania i oczekiwania. Na okazaną przez nas uwagę i dbałość odpowiadała zaufaniem i wielkim uczuciem, którym mnie i Normana całkowicie podbiła. Oboje bardzo ją pokochaliśmy, nasze wyjazdy układaliśmy wokół niej. Towarzyszyła nam w ponad dwumiesięcznej wyprawie do

indiańskich rezerwatów siedząc obok na specjalnym siedzeniu wpasowanym między nami w samochodzie Jeep-Cherokee. Codziennie nocowała w innym motelu, hotelu, podporządkowała się rytmowi dnia, nie protestowała, nie usiłowała uciekać. Miała do nas zaufanie, że ta wyprawa ma jakiś szczególny sens, skoro ją przedsięwzięliśmy. A swoją obecnością umilała nam niejedną podróż.

Suzy wiele razy jeździła z nami także samolotami do Polski. Miała swój bilet, siedziała w torbie pod siedzeniem, od czasu do czasu kładliśmy torbę na kolanach, wystawiała pyszczek by popatrzeć na ludzi w samolocie. Spokojnie znosiła nawet kilkanaście godzin niewygód. Lubiła być w pobliżu nas, podążała za nami po pokojach jak piesek, oczekując wieczorami codziennych spacerów, w czasie których biegła obok. Rozumiała wiele słów, np. słowo *walk* (spacer). Gdy je usłyszała biegła do drzwi i czekała, aby o niej nie zapomnieć.

Uważam, że jeżeli poświęca się zwierzęciu uwagę i mówi do niego, odpowiada uczuciem i inteligencją.

Kotka Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Suzy i Claude na biurku pisarki, fot. arch. A. Ziólkowskiej-Boehm.

Z Pani książki wynika, że związek ze stworzeniem takim jak Suzy stwarza człowiekowi nową jakość życia, człowiek staje się bogatszy o nową wrażliwość, zaczyna dostrzegać piękno i dobro tam, gdzie dotychczas tego nie zauważał. Czy Pani swoją kreacją bohaterki celowo nawiązywała do szalonej ciotki bogatego snoba, pokazującej mu inny świat niż ten, w którym żył do tej pory, z powieści Greene'a „Podróże z moją ciotką"?

– Tak właśnie się stało. W tytule celowo nawiązałam do pięknej książki Grahama Greene'a. Suzy pokazała mi nie tylko inny świat

i jakby otworzyła na inną rzeczywistość, także wzbogaciła, uwrażliwiła na sprawy zwierząt i w ogóle natury. Mam ogród, o który dbam, który kwitnie od marca do listopada wciąż innym bogactwem. Mam karmniki, jeden specjalny dla kolibrów i mam dwa koty, które obserwują ptaki zabawnie pomiaukując. Ale zostawiają je w spokoju uważając zapewne za część naszego domostwa.

Jakie jeszcze literackie powiązania miała Pani na myśli, pisząc tę książkę?

– Pamiętam dobrze książki czytane w dzieciństwie opisujące związek człowieka ze zwierzęciem, np. Jacka Londona „Biały Kieł" czy kanadyjskiego pisarza Courwooda. Pamiętam historię o piesku Karusku z książki Prusa „Anielka". Duże wrażenie pozostawiła na mnie piękna, niezwykła kronika przyjaźni z wydrą zatytułowana „Wydra Pana Grahama", czy „Born Free" o lwicy Elsie, której poświęcono także film. Czytałam Audrey Topping „Charlie's World. The improbable adventures of a Hong Kong cockatoo and his American family". Jest to opis niezwykłej 30-letniej przyjaźni z papugą. Autorka, z którą mam wciąż kontakt, wydała poważne książki o Chinach i Tybecie, także pełne wzruszeń opowieści o ptaku, który zdobył serce jej i całej rodziny.

Czy Pani zamierzeniem była rola edukacyjna tej książki,

czy też rolę tę książka pełni niejako „przy okazji”.

– Zamierzeniem było podzielenie się swoimi obserwacjami, takie czułe obserwowanie zwierzęcia. Cokolwiek przy okazji wywołuje ta książka, to już jest sprawą odbioru. Recenzent w „Nowych Książkach” napisał, że jest to książka o… samotności Ameryki. Brzmi interesująco, ale nie wiem do końca, co to znaczy.

Piszę na początku „Podróży z moją kotką”, że chciałabym, by każdemu w czasie jej lektury zrobiło się przyjemniej i weselej.

Krzysztof Koehler, poeta i naukowiec, napisał mi: *Cieszę się na nią i ilekroć podgryzają mnie jakieś smuteczki lubię sobie przeczytać z niej jakąś „historię”*.

Pani książka jest nie tylko o zwierzętach, ale i o ludziach. Czytając kolejne Pani książki, wchodzi się stopniowo w świat wypełniony przyjaźniami i przyjaciółmi, dobrymi znajomymi, wspomnieniami z różnych miejsc czy sytuacji. Pani książki są niezwykle szczere, pozbawione fikcji literackiej, zmian imion czy miejsc. Daje to duży ładunek emocji w odbiorze, zbliża czytelnika do Pani życia, które jest bogate, pobudza do refleksji. Tak samo „zbudowane” są „Podróże z moją kotką”. Codziennie spacery, codzienne zabiegi, obserwowanie, nawiązywanie kontaktu przez człowieka z kotem, papugą, królikiem. Właśnie ta prostota

narracji, ten reportaż z życia ludzi i zwierząt daje tak duże bogactwo treści. Czy taka właśnie, bezpośrednia forma, jest Pani ulubioną formą wypowiedzi?

– Ta forma jest mi bliska od dawna – snucie własnych opowieści do kogoś, do czytelnika, którego cenię i lubię. I jeżeli zechce posłuchać – opowiem mu o swoim życiu i ludziach, których spotykam. Także o zwierzętach, o których pisałam np. w „Ulicy Żółwiego Strumienia", w „Blisko Wańkowicza" o jamniczku pisarza Dupku, i o kolejnym Bisiu. O zwierzętach moich bohaterów pisałam także w książce „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża" (o kotach, psach, kozłach, szczurach, wielbłądach, indyku, kogucie, kurach, jaszczurce). W książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon" napisałam o stadninie koni arabskich Jerzego i Anny Bąkowskich. Ich córka Ewunia, która kochała wszystkie zwierzęta, miała szczególny kontakt z końmi, z którymi spędzała długie godziny. Na przykład dokarmiała smoczkiem młode źrebaki, które wymagały specjalnej opieki. Inne, starsze podążały za nią po okulniku jak pieski. Jej ulubione konie to Irenka (arabka wierzchówka, która urodziła się z krzywą szyjką). Hodowała także kury i prosięta.

Ewa Bąkowska opisana w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” w dzieciństwie z koniem.

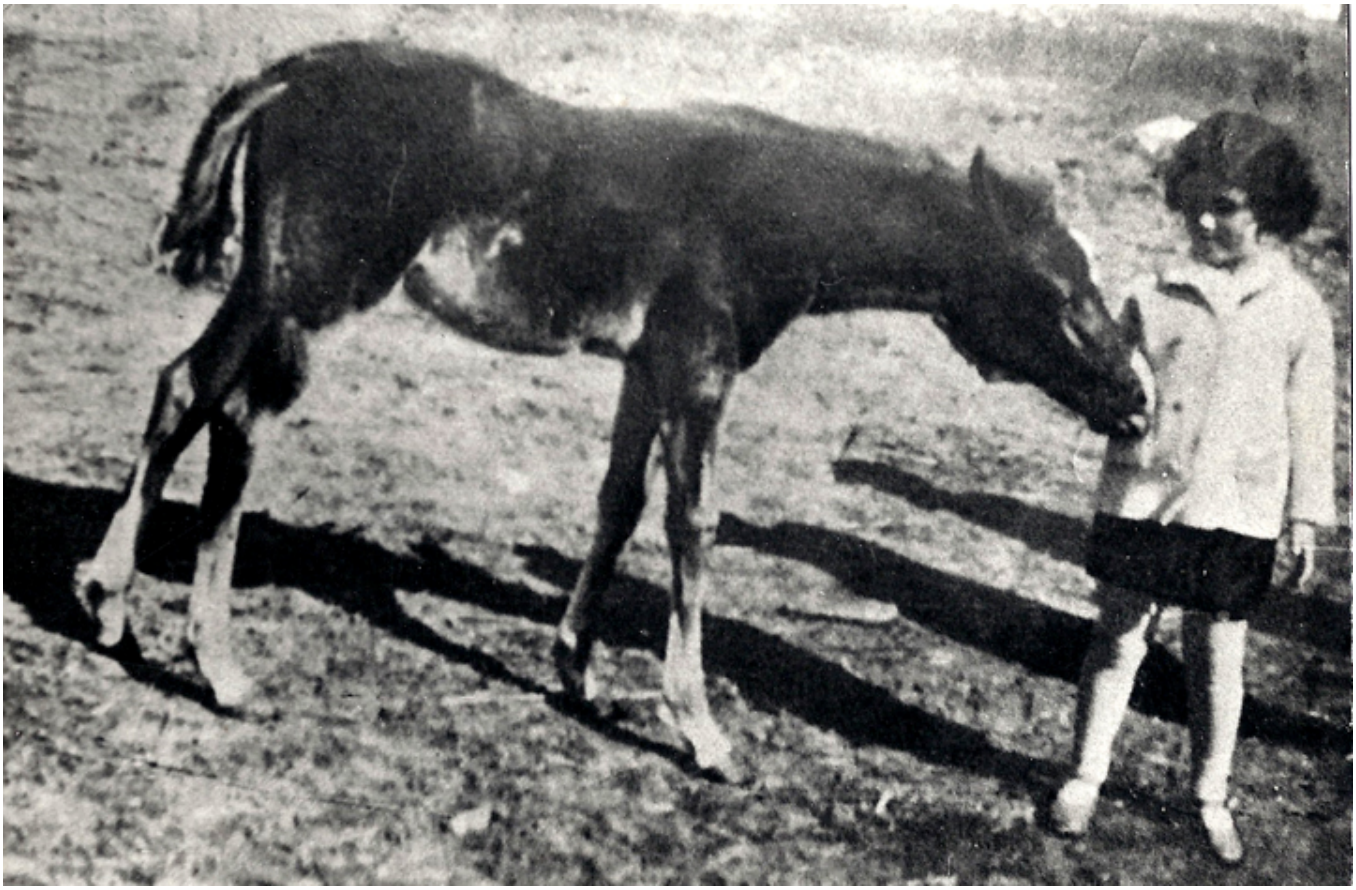

Ewa Bąkowska opisana w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” w dzieciństwie z koniem Irenką.

Książka o kotce Suzy składa się z dwóch części: z życia tytułowej bohaterki Suzy i jej otoczenia oraz wspomnień o zwierzętach pisanych przez inne osoby. Co kierowało Panią przy dokonywaniu takiego wyraźnego podziału?

Chciałam pokazać, jak wiele osób, dziennikarzy, aktorów, nauczycieli, poważnych, często ze znanymi nazwiskami, jak Szymon Kobyliński (krótko przed śmiercią przesłał mi swoją kocią opowieść), Zofia Korbońska, Jagienka Wilczak, podziwia i dba o koty. Pokazałam, że jesteśmy w całkiem dobrym towarzystwie.

Jak odnosili się Pani przyjaciele i znajomi do takiego pomysłu na książkę?

– Posłałam fragment Szymonowi Kobylińskiemu, który mnie zachęcał pisząc, zacytuję jego list (jest w książce „Nie minęło nic prócz lat”):

Śliczny kawałek o podróżniczce-automobilistce Suzy. Kto wie, a nuż dołączysz do pisarzy takich, jak Karel Capek, Kipling, London czy Dygasiński lub niezapomniany Grabowski z Pucem i Bursztynem, a więc literatów sławiących urok i wdzięk zwierzęcia u boku. Ów fragment dowodzi, że masz odpowiednie wyczucie sprawy, czy raczej ten zmysł czułej obserwacji. Oby tak dalej i obficiej!

Mój mąż Norman, nie mówiący po polsku, bardziej ten temat rozumiał niż polskie zawiłości historyczne, którymi zajmowałam się wcześniej, i o których próbowałam mu opowiedzieć. Był wręcz entuzjastą tej książki. Mój syn – Tomek, architekt i fotoreporter – patrzył na mnie trochę ze zdumieniem, mówił: *Mamo, uważaj, by nie odebrali cię jako ekscentryczkę,* niektórzy znajomi w Polsce byli – powiedzmy – sceptyczni. W Polsce, jak mi napisał przywoływany wcześniej Krzysztof Koehler, wciąż zwierzęta są tematem do końca nie ujętym i traktowanym jako sprawa prywatna.

Norman Boehm z kotką Suzy, Crazy Horse Memorial, South Dakota, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Gdy wydawca ogłosił książkę na drugim miejscu bestselerów roku 2002, które zdobyła będąc tylko dwa miesiące na rynku, gdy została wybrana przez księgarzy w Polsce „książką tygodnia" (ostatniego tygodnia grudnia 2002), jakby wszyscy sceptycy zmienili zdanie i mówili, że stało się to po lekturze. Przyznam, że i ja się bałam, żeby to nie była książka „kici, kici", tylko życzliwa i przyjazna, ale też z dystansem do tematu.

Największą bodaj radość sprawiła mi słynna warszawska Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, która całe okno wystawowe poświęciła specjalnie tej książce.

W jakim momencie Pani działalności pisarskiej powstała ta książka?

– Przez trzy lata współpracowałam z Jerzym Giedroyciem przy tomie z cyklu *Archiwum Kultury*, który ukazał się tuż po jego śmierci „Korespondencja: Jerzy Giedroyć – Melchior Wańkowicz". Opracowanie listów, przypisy, wstęp, ustalenia, które konsultowałam z Redaktorem, dotyczyły nieraz trudnych tematów. Dotyczyły okresu tuż po wojnie, trudnych lat emigracji politycznej. Konflikty, nieporozumienia, różnice zdań, wyroki wydawane na kolegów, ostracyzm, wielka i mała polityka – były tematem wielkiej emigracji tych lat. Mając dostęp do archiwum Wańkowicza, bo jest ono zapisem testamentowym pisarza w moim posiadaniu, znając więc pewne sprawy od jego strony,

musiałam niejako walczyć o jego – ogólnie mówiąc – sprawy i jego dobre imię.

Nie przeciągając już tego zagadnienia, chcę powiedzieć, że niełatwo mi było, osobie urodzonej kilka lat po wojnie, zmierzać się z tematyką i problemami, które znam jedynie z dokumentów. Spoczywał na mnie obowiązek obrony imienia pisarza, a jednocześnie byłam pod wielką presją wielkiego Redaktora paryskiej „Kultury". Wymieniliśmy wspólnie ok. 300 listów i faxów, pojawiały się konflikty i ostrości, zawsze jakoś wyprostowujące się.

Po takiej pracy dokumentalisty chciałam mieć swoistą przerwę i… napisałam książkę, której pisanie było dla mnie swoistą terapią. Chcę wspomnieć, że Jerzy Giedroyć lubił zwierzęta i od czasu do czasu pytał mnie – jak pani koteczka?…

Aleksandra Ziółkowska-Boehm z kotką Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

„Podróże z moją kotką" wyszły również w Ameryce po angielsku. Jak książka została odebrana przez angielskojęzycznego odbiorcę?

– Była to moja druga (po książce na tematy Indian) książka w języku angielskim, która ukazała się w Stanach. Przeczytałam piękną opowieść o nawiązanej bliskości niewidomego z psem, i napisałam do wydawcy – *Purdue University Press* (*West*

Lafayette, Indiana), że ja mam podobną książkę… o nawiązanej szczególnej bliskości z kotem. Dostałam mailem odpowiedź, aby przysłać fragment, potem drugi mail, by przysłać więcej i niebawem zaproponowano mi podpisanie umowy.

Co mnie ucieszyło, że książkę nie wydał wydawca, który „kocha koty", tylko uniwersyteckie wydawnictwo, które drukuje piękne książki. *Purdue University* szczyci się wysokim poziomem studiów weterynaryjnych (*College of Veterinary Medicine*).

Książka ma tytuł „On the Road with Suzy. From Cat to Companion" (ISBN 978-1-55753-554-2).

Pojawiły się ładne recenzje i głosy, między innymi wspominanej wcześniej autorki książek Audrey Ronning Topping.

Dwa rozdziały w książce są pióra mojego syna (Thomas Tomczyk) – na temat amerykańskiej „farmy dla kotów" (*A Second Chance Farm*) i na temat zwierząt w Indiach (*Animals in India*). Zacytowany jest Mahatma Gandhi, że… *wielkość narodu i jego postęp moralny może być oceniany według sposobu, norm, w jaki traktuje zwierzęta* (*The greatness of a nation and its moral progress can be judged by the way its animas are treated*).

Książka miała już kilka wydań, a Pani nadal ma spotkania z czytelnikami, których ujęła Suzy i stworzony przez Panią

literacki świat. Proszę o tym opowiedzieć.

– „Podróże z moją kotką” w języku polskim miały dwa wydania, na spotkaniach nieraz jestem pytana – czy napiszę dalszy ciąg przygód Suzy. Amerykańskie wydanie „On the Road with Suzy From Cat to Companion” ukazało się w 2010 roku i wciąż ma dodruki. Wydawca amerykański – widząc, jakie ten tytuł ma powodzenie, wysyła mi do wewnętrznych recenzji teksty, nad których wydaniem się zastanawia.

Niemałą radość sprawia mi, że książka miewa się dobrze… (ale kotom tego nie mówię…).

Polskie wydania „Podróży z moją kotką”

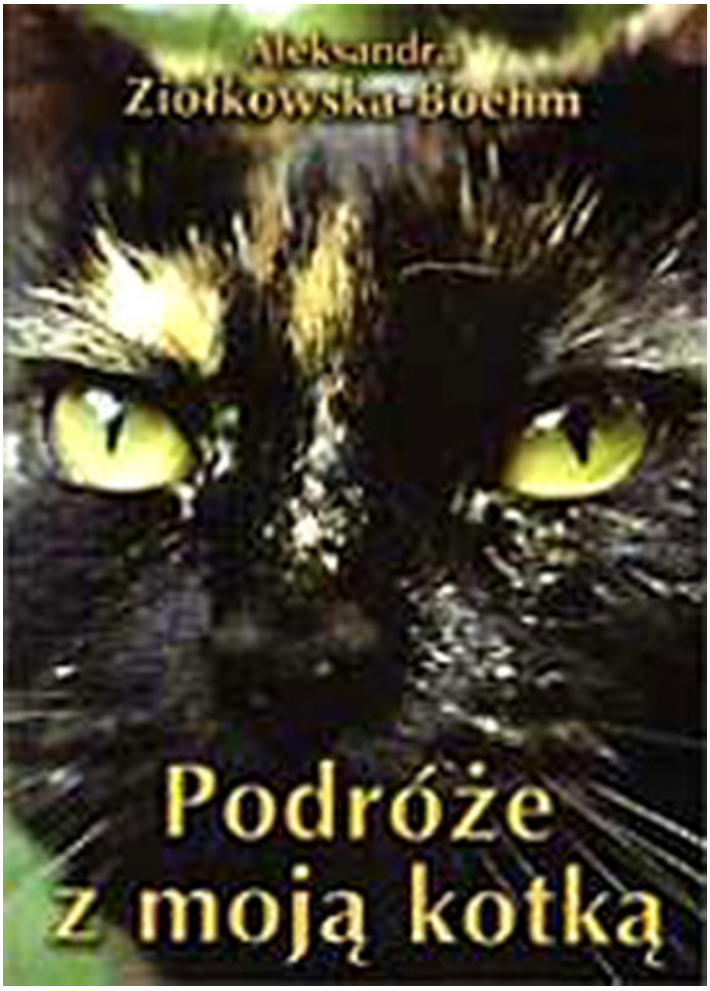
Aleksandra
Ziołkowska-Boehm
Podróże
z moją kotką

ALEKSANDRA
ZIOŁKOWSKA-BOEHM
PODRÓŻE
Z MOJĄ KOTKĄ

Angielskie wydanie „On the Road with Suzy. From Cat to Companion”

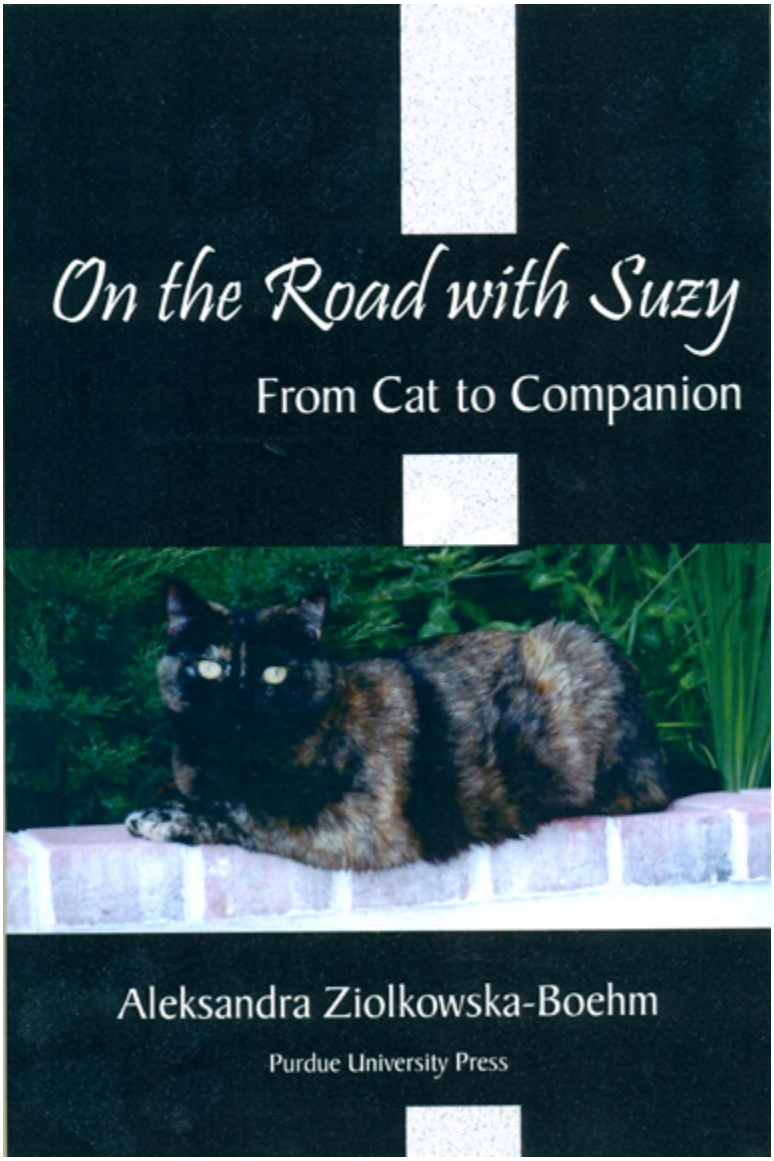

Joanna Sokołowska-Gwizdka – laureatką ZŁOTEJ SOWY POLONII

„Złota Sowa Polonii" jest uhonorowaniem za dokonania twórcze, artystyczne, naukowe i społeczne dla przedstawicieli światowej Polonii, Polaków aktywnych poza Polską oraz obcokrajowców, którzy działają na rzecz polskiej kultury.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Została Pani tegoroczną – 2018 roku – laureatką Złotej Sowy Polonii. Nagroda przyznawana jest od 2005 roku za dokonania twórcze poza Polską.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

– Tak, spotkał mnie wielki zaszczyt. Nagroda jest przyznawana

przez Klub Inteligencji Polskiej w Austrii oraz redakcję pisma „Jupiter” za propagowanie polskiej kultury poza krajem w różnych dziedzinach. Ja ją otrzymałam w kategorii Literatura. Statuetka będzie wręczana na gali w Sali Sobieskiego Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu 24 marca br.

Czuję się niezwykle wyróżniona i doceniona. Pracuje się przecież nie dla nagród, podejmując wyzwania i wysiłek w ogóle się o nich nie myśli. Nie mniej jednak świadomość, że nasza praca nie pozostaje bez echa, że została zauważona, sprawia wielką radość.

Jest Pani autorką książki o Helenie Modrzejewskiej. Jak się zaczęło Pani zainteresowanie, które zamieniło się w pasję tą niezwykłą postacią wielkiej aktorki? Za co możemy teraz – z perspektywy lat – podziwiać Modrzejewską?

– Zainteresowanie aktorką zaczęło się, gdy pierwszy raz odwiedziłam Kalifornię, na przełomie 1997 i 1998 roku. Uświadomiłam sobie wówczas, że to tu było jej miejsce, które sobie wybrała, miejsce wymarzone, gdzie stworzyła dom – oazę, wśród słońca i palm ze świeżym, morskim oddechem znad Pacyfiku. W Kalifornii są jedne z piękniejszych zachodów słońca, a białe szczyty gór, niczym mury tonących w kwiatach i zieleni hiszpańskich misji, gubią się w chmurach. I właśnie w takiej scenerii aktorka stawiała pierwsze kroki na deskach

amerykańskiego teatru, przemierzając wielokilometrowe dystanse.

Podczas tego pierwszego pobytu „w kraju Modrzejewskiej” zorientowałam się, że mimo wielu śladów w postaci m.in. nazw geograficznych, niewiele o aktorce wiadomo. Sama zresztą byłam ciekawa, kim była. Po powrocie do Polski zaczęłam więc ją poznawać. I tak nasza „znajomość”, nawiązywana z dłuższymi, lub krótszymi przerwami, trwa do dziś.

Helena Modrzejewska stała się dla mnie kimś bliskim. Wielokrotnie czytałam jej listy, wspomnienia, książki na jej temat. W efekcie „zaprzyjaźniłam” się z nią. Znam ją zarówno jako człowieka pełnego radości, jak i wątpliwości, wielkich wzlotów i upadków, znam ją z życia codziennego, dowcipną, uśmiechniętą, pielącą ogródek, czy narzekającą na los gwiazdy, która musi smażyć kotlety i cerować skarpetki swoim panom. Widzę ją spacerującą wśród cyprysów w kalifornijskim Ardenie, pielęgnującą ukochane róże oraz na scenie, jako wielką aktorkę wzbudzającą niezapomniany dreszcz, oklaskiwaną zarówno przez tłumy w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, jak i garstkę widzów w małych prowincjonalnych amerykańskich teatrzykach. Doceniam, że nigdy nie zapomniała o Polsce i swoją postawą kształtowała opinię publiczną. Np. podczas każdej tury artystycznej grała jedną scenę Ofelii z „Hamleta” po polsku, aby „nie zapomniano z jakiego kraju pochodzi”.

Cenię ją więc za to jaką była artystką, Polką i jakim była człowiekiem. Myślę, że uniwersalnymi cechami, za które można podziwiać aktorkę jest jej determinacja w pokonywaniu przeszkód, odwaga i niezwykła pracowitość.

Modrzejewska pochodziła z rodziny, która nie ułatwiła jej startu w życie, do wszystkiego doszła sama własną pracą i talentem. Początki jej kariery aktorskiej to podróże po drogach Galicji i występy w prowincjonalnych teatrzykach. Jednak pokonała wiele niepowodzeń i stała się gwiazdą Teatrów Rządowych w Warszawie. Będąc na szczycie sławy potrafiła podjąć nowe wyzwanie – zaczęła budować karierę za Oceanem od początku i to bez znajomości języka angielskiego. Uczyła się dzień i noc, aby móc wyjść na scenę i zagrać w języku Szekspira. Dzięki wytrwałości zdobyła ogromną popularność na amerykańskim kontynencie. Może o tym świadczyć fakt, że producenci damskich strojów, butów czy przyborów toaletowych ubiegali się o firmowanie nazwiskiem Modrzejewskiej swoich wyrobów. Artystka zaczęła dyktować modę, maniery, zachowanie, gesty. Konkurencyjne domy mody „wydzierały sobie" Modjeską. Tam gdzie występowała fetowały ją miejscowe kluby, a wieczorem na scenie pojawiały się wielkie kosze kwiatów z „gwiazdą północy" na szczycie, utkaną z białych i czerwonych róż.

Mimo tych sukcesów Modrzejewska nie spoczęła na laurach, nie „odrywała kuponów" nawet wtedy, gdy recenzenci rozpisywali

się w samych superlatywach na jej temat. Pamiętała, że „fortuna kołem się toczy”, miała w sobie wiele pokory, do końca życia pracowała nad rolami, rozwijała je, wzbogacała swoimi doświadczeniami życiowymi. Tak więc pracowitość i pokora nawet po stu latach się nie zdezaktualizowały.

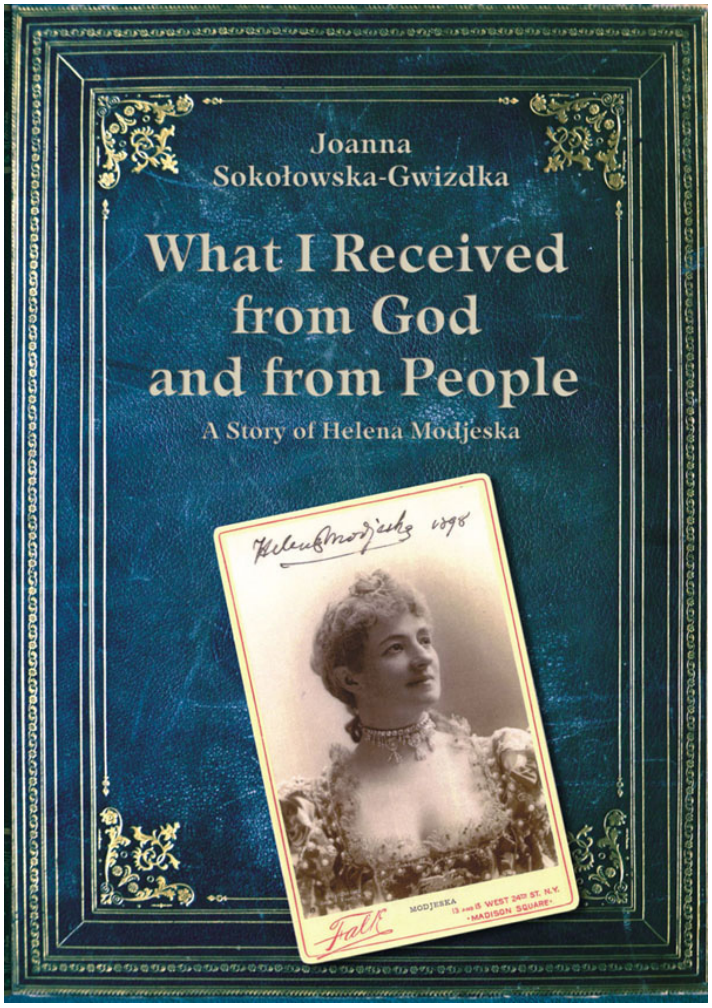

Pani książka ma tytuł: „Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej" (*BoRey Publishing, Somerset, New Jersey 2009*). Skąd ten cytat?

– Modrzejewska dużą wagę przywiązywała do pisania wspomnień. Już w młodości prowadziła dziennik, a z biegiem lat słowo zapisane, jako ponadczasowe, miało dla niej coraz większe znaczenie. Zresztą została obdarowana również talentem literackim i bogatą wyobraźnią. Po zejściu ze sceny i opuszczeniu swojego ukochanego Ardenu, czując nieubłagany upływ czasu podsumowywała swoje życie:

> Gdy siedzę na ganku naszej willi i patrzę na purpurowe wzgórza Santa Ana, na wierzchołki Sierra Madre albo w błękitne wody zatoki, mam uczucie spokoju i zadowolenia. Miłość do moich najbliższych wypełnia mi serce po brzegi i chociaż w myślach goszczą często obrazy ze świetnej przeszłości na scenie, to jednak nie żal, nie gorycz mąci moją świadomość, ale wypełnia ją wdzięczność za wszystko, co otrzymałam od Boga i ludzi.

Tak się kończą wspomnienia Heleny Modrzejewskiej. Ja wykorzystałam ostatnie zdanie jako klucz do otwarcia przeszłości. Spróbowałam stworzyć portret artystki i człowieka, poprzez mój pryzmat widzenia tej postaci.

Książka jest dwujęzyczna, nieduża, pięknie wydana ze wstępem prof. Kazimierza Brauna. Do jakiego czytelnika książka jest skierowana?

– W moim zamyśle książka miała rozpowszechnić wiedzę na temat Heleny Modrzejewskiej w Ameryce, gdzie aktorka spędziła ponad 30 lat i uświadomić, jak wiele zrobiła dla historii kultury tego kontynentu. Przecież przed nią prawie nie znano tu Szekspira. A ona jeździła w najdalsze zakątki Ameryki, wożąc ze sobą kostiumy, dekoracje, z czasem podróżowała z własnym zespołem aktorów. Na spektakle, w dużej części szekspirowskie,

przychodzono głównie dlatego, aby zobaczyć słynną „zamorską gwiazdę”, o której krążyły legendy.

Tak więc książka skierowana jest przede wszystkim do czytelników z USA i Kanady. Jest odwracana i ma dwie okładki. Na okładce po stronie polskiej znajduje się fotografia Modrzejewskiej zrobiona w Krakowie, po angielskiej zaś – w Nowym Jorku.

Mimo, że z zebranego przeze mnie materiału mogła wyjść książka bardzo obszerna i zbliżyć się do monografii, jednak zdecydowałam, że w dobie smsów i innych krótkich i treściwych form porozumiewania się, lepiej napisać książkę zawierająca pewną ilość informacji, ale nie za długą, którą można przeczytać w podróży, lub siedząc wygodnie w fotelu przy kominku w zimowy wieczór. W obecnym wyścigu z czasem, taka podręczna książka ma większą szansę dotarcia do dużej ilości osób. Wydaje mi się, że świetnie nadaje się na prezent zarówno dla polskiego czytelnika, jak i dla tych, którzy z Polską nie mają nic wspólnego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas wieczoru nt. Heleny Modrzejewskiej w Austin, Teksas, listopad 2017 r., fot. Jacek Gwizdka.

Czy teraz, po latach jej syn, Ralph Modjeski wielki budowniczy mostów, jest równie sławny jak jego matka?

– Na pewno tak. Świadczy o tym m.in. fakt, że firma założona przez Ralpha Modjeskiego (Rudolfa Modrzejewskiego, zwanego w domu „Dolciem”), istnieje do dziś, szczycąc się ponad stuletnią historią. Główna siedziba firmy „Modjeski and Masters” mieści się w Harrisburgu w Pensylwanii. Myślę, że Rudolf Modrzejewski

nie przewidywał, że tworzy firmę, która będzie działać jeszcze długo po jego śmierci (zmarł w 1940 roku w Los Angeles).

Ralph Modjeski skończył prestiżową państwową szkołę dróg i mostów w Paryżu (*Ecole Nationale des Ponts et Chauseés*), a potem terminował jako inżynier u słynnego konstruktora George'a S. Morisona, zwanego ojcem amerykańskich mostów. W 1911 roku uzyskał doktorat z inżynierii w *Illinois State University*.

Zasłynął jako pionier w budownictwie tzw. mostów wiszących. Zbudował ponad 40 mostów na największych rzekach w Północnej Ameryce, m.in. Thebes Bridge na Mississippi, Benjamin Franklin Bridge w Filadelfii, Ambassador Bridge w Detroit, Trans-Bay Bridge w San Francisco itd. Jego uczniem był Joseph B. Strauss – twórca słynnego mostu Golden Gate w San Francisco. Ile razy przejeżdżam przez któryś z wielkich amerykańskich mostów ze spektakularnym widokiem na potęgę rzeki, nie mogę się nadziwić, jak człowiek i to ponad sto lat temu, mógł wymyślić tak niesamowitą i trwałą konstrukcję.

Co dzieje się z dworkiem aktorki w Arden?

– Helena Modrzejewska nazwała Ardenem swoje kalifornijskie rancho – od Lasu Ardeńskiego ze sztuki Szekspira „Jak wam się podoba". Miało to być miejsce wolności, artystów i sztuki,

zgodnie z teatralnym pierwowzorem. Modrzejewska wraz ze swoim mężem Karolem Chłapowskim mieszkała tam głównie w okresie wakacyjnym i świątecznym w ciągu 18 lat. Wiele przyczyn złożyło się na to, że w 1906 roku Chłapowscy sprzedali Arden. Obecnie jest tu muzeum Heleny Modrzejewskiej (*Arden Modjeska Historic Home & Garden*), a zbiorami opiekuje się Fundacja Heleny Modrzejewskiej, która rekonstruuje wygląd domu, gromadzi wyposażenie i pamiątki, związane zarówno z artystką, jak i epoką. Zamówiono np. taką samą makatkę przedstawiającą Matkę Boską, jaka wisiała w sypialni Heleny, w tej samej firmie w Zakopanem, w której zamawiała Modrzejewska. Prawnuczka Modrzejewskiej, która jest rzeźbiarką i mieszka na Alasce zrekonstruowała ozdobny stół, który stał w salonie. Tak więc dom po latach użytkowania przez innych właścicieli nabiera powoli charakteru sprzed lat.

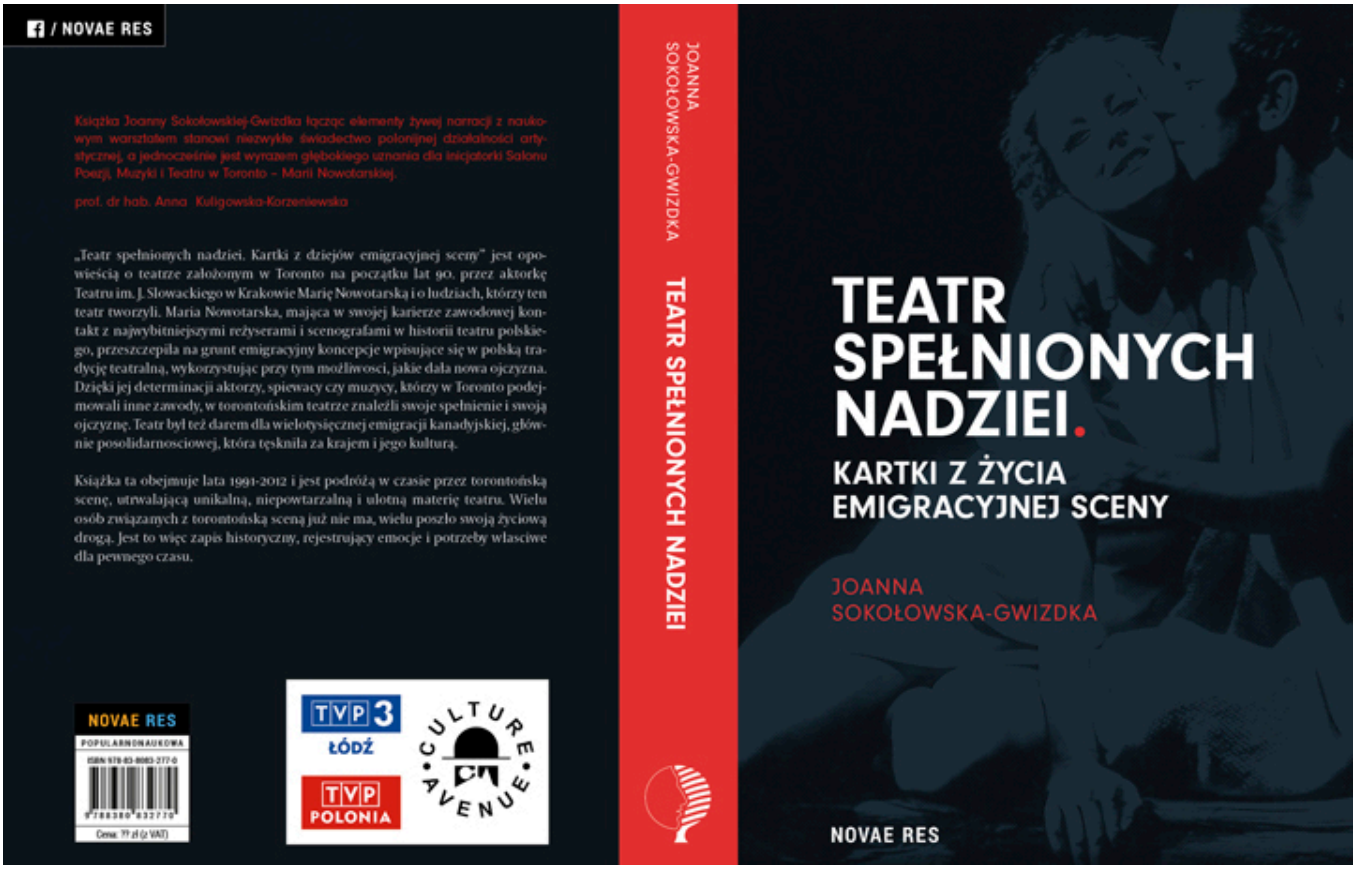

Pani Joanno, w 2016 roku wydała Pani książkę poświęconą teatrowi emigracyjnemu w Toronto. Jest to duża praca monograficzna. Na czym polega fenomen teatru polskiego w Toronto?

– Salon Poezji, Muzyki i Teatru im. Jerzego Pilitowskiego został założony w 1991 roku przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie – Marię Nowotarską. Od tej pory w Salonie było ponad 100 premier – od kameralnych spotkań literackich z towarzyszeniem instrumentu, po duże, wieloobsadowe, często fabularyzowane spektakle słowno-muzyczne. Maria Nowotarska wykorzystuje ogromny potencjał, który tkwi w utalentowanych artystach torontońskich, pracujących bardzo często w swoich

zawodach na kanadyjskiej scenie, a także w uzdolnionej młodzieży, uczącej się w teatrze piękna polskiego słowa. Aktorka i reżyser jednocześnie, ma w sobie niezwykły magnetyzm, który do teatru przyciąga talenty. Aktorzy, śpiewacy, plastycy pracują z poświęceniem wiele godzin, za symboliczną gratyfikację finansową, bo cenią radość tworzenia i bycia potrzebnym publiczności. Na szczególną uwagę zasługują sztuki specjalnie pisane dla tego teatru przez dramaturga i reżysera z Uniwersytetu w Buffalo – prof. Kazimierza Brauna. Stanowią już w tej chwili cykl portretów słynnych Polek-emigrantek – Heleny Modrzejewskiej, Marii Skłodowskiej-Curie, Poli Negri czy Hanki Ordonówny, wzbudzających emocje i szerzących wiedzę o bohaterkach. Aktorki – Maria Nowotarska i jej córka Agata Pilitowska bardzo dużo podróżują z tymi sztukami – od najdalszych zakątków Kanady przez Stany Zjednoczone, Amerykę Południową po Europę.

Odpowiadając na Pani pytanie właśnie na tym według mnie polega fenomen tego teatru, że bez lokalu, zaplecza, sztabu ludzi zajmujących się kostiumami czy sprawami technicznymi, w emigracyjnych warunkach ze szczupłymi zasobami finansowymi, teatr powstał, jest, tyle lat działa i cały czas się rozwija.

Książka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (*Novae Res, Gdynia 2016)*, która oprócz odtworzenia działalności teatru z ponad 20 lat, objęła 270 godzin wywiadów z

ludźmi kultury i sztuki z wielu pokoleń emigracji, wyszła na XX Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie. Następnego dnia miała miejsce promocja w Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Było to dla mnie wielkim przeżyciem, bo teatr ten był przecież od początku jego powstania sercem tego „co w polskiej duszy gra", a kamień węgielny położyła pod nim sama Helena Modrzejewska. Od tej pory książka zaczęła żyć własnym życiem podczas licznych wyjazdów i wieczorów autorskich. Zostałam zaproszona między innymi przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Krakowie, Polskie Towarzystwo Ziemiańskie w Warszawie czy też Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie. Po powrocie do USA byłam w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, a w Teksasie miałam już wieczory w Houston i w Austin, gdzie mieszkam. Cieszy mnie, że moja opowieść o polskim teatrze w Toronto prowokuje do dyskusji na temat polskiej kultury poza krajem, jej roli w wychowaniu młodego pokolenia wyrastającego poza polskojęzycznym środowiskiem kulturowym i jej przyszłości.

Przed wyjazdem do Kanady pracowała Pani na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Literatury Staropolskiej oraz współpracowała Pani z polskimi mediami, prasą i telewizją. Po wyjeździe podtrzymywała Pani kontakty pisząc w Polsce do pism: „Tygiel kultury", „Jazz forum", „Ruch Muzyczny". Poza Polską do pism – „Nowy Dziennik" (Nowy Jork), „Gazeta" (Toronto), „Pamiętnik literacki" (Londyn). Jakie tematy Panią

szczególnie interesują?

– Zawsze mnie interesują tematy związane z polską kulturą i historią. W pierwszej połowie lat 90. byłam przedstawicielem Festiwalu Chopinowskiego w Nohānt we Francji. Zebrałam dużo materiału o Chopinie i George Sand, a potem ta romantyczna para stała się bohaterem wielu moich artykułów.

Cenię twórczość Marii Kuncewiczowej. Jeszcze jako studentka byłam przez nią przyjęta w jej domu w Kazimierzu nad Wisłą, krótko przed jej śmiercią. Oprowadziła mnie po swojej pięknej drewnianej willi ze skrzypiącymi podłogami, opowiadając niezwykłe historie bliskich jej ludzi i różnych przedmiotów z nimi związanych. Mówiła o planach dotyczących domu i o tym, że regularnie pisze listy do swojego zmarłego męża Jerzego. Potem kontaktował się ze mną jej syn Witold Kuncewicz, dziękując za mój tekst-wspomnienie. „Zaczarowany Dom pod Wiewiórką" pojawia się od czasu do czasu na nowo, przypominając wielką pisarkę.

Materiał historyczny – zagłada pacjentów największego przedwojennego szpitala psychiatrycznego w Kocborowie (obecnie Starogard Gdański) w październiku 1939 roku oraz postawa lekarzy wobec terroru wojny – to kolejny obszar moich zainteresowań. Zamordowanym wówczas przez Niemców ordynatorem i zastępcą dyrektora w tym szpitalu, był brat mojej

babci Józef Kopicz. Między innymi dlatego temat ten jest dla mnie bardzo ważny. Mój artykuł „Oddział podróży do nieba” przywoływany jest w różnych kontekstach, m.in. podczas konferencji psychiatrycznych.

Interesuje mnie też historia obyczajów staropolskich. Myślę, że zainspirował mnie wielki polski historyk, specjalizujący się w czasach Jagiellonów, autor słynnej książki „Barbara Radziwiłłówna”, prof. Zbigniew Kuchowicz, z którym miałam na studiach wykłady właśnie z historii obyczaju.

Zbieram też pamiątki po Janie Ignacym Paderewskim, mam nadzieję, że je wykorzystam przy kolejnej dwujęzycznej książce.

Bardzo lubię formę wywiadu. Każdy z moich rozmówców coś ciekawego wnosi do mojego życia, coś mi zostawia, myśl, przesłanie, sposób na życie, wizję świata. Rozmowy z twórcami polskiej kultury bądź z osobami, które odkrywały inne kultury czy nieznane mi obszary wiedzy, traktuję jako bardzo cenne dary.

Joanna Sokołowska-Gwizdka po spotkaniu autorskich w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi, kwiecień 2017 r., fot. Andrzej Sokołowski.

W latach 2001-2005 mieszkała Pani wraz z mężem Jackiem w Toronto, największym skupisku Polonii Kanadyjskiej, znanym z wielu organizacji, fundacji, stowarzyszeń, prasy, wydawnictw. Po ukończeniu doktoratu przez Pani męża na Uniwersytecie w Toronto, przenieśli się Państwo do New Brunswick w stanie New Jersey, gdzie Dr Jacek Gwizdka pracował na Uniwersytecie Rutgers. Od 2013 roku mieszkają Państwo w Austin w Teksasie, gdzie Pani mąż został profesorem na *University of Texas at Austin.*

W Toronto prowadziła Pani – i kontynuowała po

przeniesieniu się do Stanów Zjednoczonych – miesięczny dodatek literacki do „Gazety”. Dodatek nosił tytuł „List oceaniczny”. Czym wyróżniał się „List oceaniczny”?

– „List oceaniczny” redagowałam od stycznia 2003 do czerwca 2008 roku. W czasie mojej redakcji charakter pisma się zmieniał. Na początku planowałam, że będzie to forum do dyskusji na tematy literackie, filozoficzne i historyczne, że będę zapraszać do współpracy wybitnych pisarzy, eseistów, felietonistów i artystów polskiego pochodzenia z całego świata. Z czasem doszłam do wniosku, że to za szeroki obszar, ograniczyłam go więc do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Robiłam oczywiście wyjątki dla ciekawych tekstów literackich czy historycznych, które prowokowały do przemyśleń. W prawie każdym numerze umieszczałam wywiad – portret, przedstawiający dokonania wybitnego artysty, pisarza czy naukowca głównie z Kanady. Zebrał się już materiał na książkę portretującą trzy pokolenia Polaków w kraju klonowego liścia.

W 2016 roku założyła Pani literacki magazyn internetowy poświęcony polskiej kulturze poza krajem – „Culture Avenue”, który stał się żywą kroniką dawnych i obecnych działań polskich twórców mieszkających poza krajem. W 2018 roku otrzymała Pani nagrodę im. Macieja Płażyńskiego dla dziennikarzy i mediów służących Polonii przyznaną przez Press Club Polska w kategorii medium

polonijne za redakcję pisma i promowanie polskich twórców rozsianych po świecie, często nieznanych w Polsce.

– Tak, magazyn literacki „Culture Avenue” jest niejako kontynuacją „Listu oceanicznego”. Został on zarejestrowany przez Bibliotekę Narodową w dziale wydawnictw ciągłych i otrzymał numer ISSN. Swoją rubrykę ma tu profesor Florian Śmieja z Kanady, nestor poetów emigracyjnych, współzałożyciel słynnej powojennej grupy poetyckiej „Kontynenty”, który w 2015 roku otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu oraz Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej, przyznany przez króla Hiszpanii Filipa VI za propagowanie języka i literatury hiszpańskiej na świecie. Profesor Florian Śmieja nie tylko publikuje swoje teksty na łamach „Culture Avenue”, ale też bardzo mi pomaga poprzez swoje doświadczenie, wiedzę, życzliwość i kontakty.

W „Culture Avenue” staram się pokazywać ciekawych twórców polskiego pochodzenia, którzy tworzą poza Ojczyzną w różnych dziedzinach. I to zarówno tych bardzo znanych, nagradzanych, jak i mniej znanych, ale robiących interesujące rzeczy. W środy przedstawiane są wirtualne wystawy artystów plastyków, w piątki ukazują się wywiady. Dla „Culture Avenue” piszą autorzy z Kanady i z USA oraz z Litwy, Norwegii, Polski i innych krajów Europy, a także z Australii i Republiki Południowej Afryki.

Niedawno otrzymałam niebywały prezent – prawie 1000 stron opisu niezwykłego życia, zmarłego w 2017 r. kanadyjskiego reżysera, Tadeusza Jaworskiego. Jego filmowa wędrówka przez życie ukazuje się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca.

Dla mnie redagowanie „Culture Avenue” jest swego rodzaju misją, aby polska kultura powstająca spontanicznie, z potrzeby, poza zinstytucjonalizowanym obszarem kraju została utrwalona, żeby pozostał ślad po niezwykłych ludziach z różnych emigracyjnych pokoleń, którzy o tę kulturę walczyli i walczą.

Federacja: Kongres Polonii w Austrii,
Klub Inteligencji Polskiej oraz Redakcja pisma JUPITER

zapraszają na Koncert-Galę

ZŁOTE SOWY POLONII
GOLDENE EULEN

24 marca 2018, godz. 17.00

Sala im. Jana III Sobieskiego, Wiedeńska Stacja PAN
1030 Wien, Boerhaavegasse 25

Prowadzą: Jadwiga Hafner i Armin Innerhofer
W części artystycznej gościnnie wystąpią:
Halina Graser i Agnieszka Malek z zespołem

WIEN KULTUR

TYGODNIK ANGORA

SRKP

SENAT RP

Wstęp, ze względu na ograniczoną ilość miejsc,
tylko po uprzedniej rezerwacji:

Tel.: 01/ 71 86 886
e-mail: kpi@chello.at

JUPITER

Boże Narodzenie
w Łodzi
i w Wilmington
w stanie Delaware

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Część 1. Łódź.

Święta kościelne wyznaczały nasze życie. Na kilka tygodni wcześniej robiono porządki. Myto okna, zawieszano świeże, wykrochmalone firanki, białym papierem wykładano wszystkie półki w kredensie i szafach. W ostatni dzień pastowało się podłogi. Ten zapach kojarzy mi się dotąd z uroczystościami, ze świętami. Chyba najmilsze były święta Bożego Narodzenia. Ogród zazwyczaj tonął w śniegu. Kilka tygodni wcześniej pod dyrekcją Mamy z białych papierowych pasków robiliśmy gwia-

zdki na choinkę. Każdego roku dokupowaliśmy nowe bombki. Tatuś kilka dni przed świętami przynosił dużą choinkę, którą trzymał w komórce, wstawiając do wiadra z wodą. Ubieraliśmy ją w dzień przed Wigilią. Stała w pokoju, w którym spałam, zwanym przez nas pokojem stołowym. Pachniała tak intensywnie, że odurzona zapachem nie mogłam się rano obudzić.

Przed Bożym Narodzeniem przy pomocy Mamy, a potem sama, długi czas pisywałam listy do świętego Mikołaja. Prosiłam o zabawki i zawsze o małego niedźwiadka, o którym marzyłam całe wczesne dzieciństwo. List kładłam do skrzynki i zawsze następnego dnia znikał. Mama mówiła, że święty Mikołaj zabierał go nocą. Kilka tygodni przed świętami Rodzice kupowali mięso wieprzowe, szynkę, baleron i potem peklowali, trzymając w saletrze, soli i ziołach. Tatuś obwiązywał mięso równo sznurkiem i wędził. W ogrodzie ustawiał specjalną beczkę do wędzenia, wcześniej „dla zapachu” znosił z lasu gałęzie z jałowca. Uwędzone szynki i balerony wieszał w przylegającej do domu komórce. Wędliny zatem mieliśmy od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Na święta wielkanocne czynności wędzenia powtarzały się i powstawał kolejny zapas na kolejne tygodnie. Latem były głównie jaja, owoce i warzywa.

W przeddzień Wigilii Tatuś przynosił żywe karpie i zamrożonego sandacza. Karpie skupiały nas nad wanienką, w której pływały. W nocy jedne zasypiały, inne Mama musiała następnego dnia

sama zabić. Były to dramaty dla nas niemałe i odwiecznie związane ze świętami. Same przygotowania do wieczerzy wigilijnej trwały wiele godzin. Wszystkie czynności i zwyczaje były symboliczne i tradycyjne, miały niemal sakralny charakter. Już od wczesnych godzin rannych obowiązywały surowe reguły. Mama mówiła, że „Jaka Wigilia, taki cały rok”. Wstawaliśmy rano, bo to zapowiadało, że cały rok będzie się z ochotą i raźnie wstawało do pracy i szkoły. Należało tego dnia wyeliminować to, co mogłoby zwiastować niepomyślny rok, a więc wszystkie prace trzeba było wykonywać ze starannością. Od rana niecierpliwie patrzyłam na Mamę przygotowującą kolację. Cały dzień zachowywaliśmy post i Mama przestrzegała nas, by się nie najeść do syta przed Wigilią, powinniśmy bowiem do niej zasiąść lekko podgłodzeni. Po południu kazała mi patrzeć w niebo w poszukiwaniu pierwszej gwiazdki. Miała to być gwiazda, która prowadziła Trzech Mędrców ze Wschodu do Stajenki Betlejemskiej. Tatuś wracał wcześniej do domu.

Do kolacji wkładałam najładniejszą sukienkę. Stół przykryty był białym, wykrochmalonym obrusem, na środku na talerzyku leżał opłatek, obok było sianko. Przed przystąpieniem do kolacji dzieliliśmy się opłatkiem. To właśnie on nadawał Wigilii jakiś nierzeczywisty, uniwersalny wymiar. Każdy z nas osobno podchodził do siebie i składał życzenia; trwało to dość długo. Nie zapomnę wzruszeń i wysiłku, by życzenia były osobiste i specjalne dla każdego. Potem Mama podawała pyszną zupę z suszonych grzybów, najlepiej z prawdziwków, z łazankami, kluseczkami pokrajanymi w „krawaciki". Kolejno jedliśmy, po trochu kosztując wszystkiego – kaszę jaglaną, usmażone na maśle i otoczone w jajku i bułeczce suszone grzyby z zupy, ryby pod różnymi postaciami: smażone karpie i sandacze, karp na słodko, śledzie panierowane w mące i smażone w oleju

konopnym, śledzie w oliwie, w śmietanie, rolmopsy. Była także specjalność wigilijna, tzw. makiełki (bułeczka maczana w mleku z nałożonym na wierzch farszem z bakalii, maku, rodzynek). Makiełki, jak mawiali Rodzice, dawały kolorowe sny. Na deser jedliśmy ciasta: babkę i moje ulubione makowce. Był także kompot zwany suszem, bo ugotowany z suszonych śliwek, jabłek, gruszek. Dań musiało być jedenaście lub trzynaście, zawsze nie do pary, i oczywiście wszystkie były postne.

Jak napisałam, podczas wieczerzy należało skosztować każdej z podawanych potraw, bo to świadczyło, iż głód nie będzie doskwierał w nadchodzącym roku, a obfitość różnych dań była zapowiedzią przyszłorocznych dobrodziejstw. Dopiero po wieczerzy obdarowywaliśmy się prezentami. Zawsze dostawałam książkę i zabawki. Kiedyś braciom Ojciec własnoręcznie wykonał z drewna duży samolot. Miał ruchome kółka i śmigło; po latach zaczęła schodzić z niego farba i Tatuś go czasami na nowo malował. Był tak trwały, że długo służył jeszcze małemu Tomkowi. Zapamiętałam szczególnie mebelki do domku dla lalek, które ustawiałam w rogu sypialni. Miałam kilka lalek, ale prawdziwie dużą i piękną, wymarzoną od dawna śpiącą lalę, ubraną w krakowski strój, dostałam dopiero mając trzynaście lat. Zachowałam ją do dziś. Gdy byłam w wieku szkolnym, na Gwiazdkę najczęściej dostawałam „odpowiednie do wieku” książki, długopisy i wieczne pióra.

Bawiąc się i słuchając kolęd, czekaliśmy prawie do północy i wszyscy szliśmy pieszo na Pasterkę do kaplicy sióstr salezjanek. Była bliżej niż parafialny kościół Dobrego Pasterza i można było znaleźć dla siebie miejsca siedzące. W czasie Pasterki jako pierwszą śpiewało się przepiękną kolędę, jedną z najstarszych, do której słowa w XVIII wieku napisał Franciszek Karpiński: „Bóg się rodzi”. Popularnością dorównuje jej jedynie starsza o trzy stulecia, anonimowa kolęda „Anioł pasterzom mówił” i śpiewana na nutę poloneza „W żłobie leży, któż pobieży kolędować małemu”. Koloryt polskich kolęd sprawił, że jako małej dziewczynce długo wydawało mi się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi. Pasterze zbudzeni przez aniołów i spieszący do szopy wydawali mi się polskimi parobkami. Boże Narodzenie zaś najbardziej polskim świętem, z grudniowym mrozem, kożuchami, butami i czapami. Byłam zawiedziona dowiedziawszy się, że Pan Jezus przyszedł na świat w dalekim Betlejem, najmniejszym z miast Judy.

Trzej Królowie

Kiedy jako dorosła osoba zobaczyłam to miasto, wydało mi się nadzwyczajne: zbudowane z białego i różowego kamienia, rozłożone na dwóch zboczach pokrytych winnicami, gaikami figowymi, migdałowymi, drzewami granatów i oliwek. Byłam bardzo przejęta, odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty

Narodzenia. Wzruszyłam się jednak dopiero, znajdując polskie akcenty w Palestynie, jak choćby: III i IV stację Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła św. Piotra Rybaka wzniesiony w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrówki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie.

Mała kaplica sióstr salezjanek brzmiała silnie głosami, wśród których szczególnie wyróżniał się melodyjny głos Mamy. Wracałam senna i szybko kładłam się do łóżka, żeby pamiętać, co się śniło, bowiem wróżba była na nadchodzący styczeń. Sny od Wilii do Trzech Króli dawały wróżbę na cały rok. Mama także zwykła mówić, że jeżeli nie byliśmy posłuszni w dzień wigilijny, to takimi pozostaniemy cały rok. Starałam się jak mogłam, ale też wciąż czymś się irytowałam. Może dlatego, że dzień niósł tyle wrażeń i emocji.

Sylwestra spędzaliśmy w domu, nie czekaliśmy północy. W Nowy Rok szliśmy do kościoła, aby otrzymać „błogosławieństwo na cały rok”. Później oczekiwaliśmy odwiedzin księdza po kolędzie, który modlił się z nami i zostawiał dla nas kolorowe obrazki. Te święte obrazki wkładałam do książeczki do nabożeństwa i mam je chyba wszystkie do dzisiaj.

Po Nowym Roku chodziliśmy na przedstawienia jasełek, które

organizowano w kościele Dobrego Pasterza i bardzo starannie u ojców salezjanów na Wodnej. Postaci Matki Boskiej, świętego Józefa, Archanioła Gabriela, Heroda, Diabła wypełniały moją wyobraźnię w długie zimowe wieczory.

Lubiłam zimowe święta, bo wciąż jakby się przedłużały. Po Bożym Narodzeniu następowało święto Trzech Króli albo Objawienia Pańskiego, bo Chrystus po raz pierwszy ukazuje się wtedy światu. W kościele odbywała się procesja idąca trzy razy, bo Magowie też wracali inną drogą. W tradycji chrześcijańskiej byli nazwani Królami, Mędrcami lub Magami. Chociaż nie wiemy dokładnie, kim byli, domyślamy się jednak, że byli uczonymi – zajmowali się zapewne astrologią i naukami tajemnymi. Gwiazda, którą ujrzeli, zgodnie z panującym przekonaniem, iż każdy człowiek posiada własną, była gwiazdą nowego władcy. Wyruszyli w daleką i niebezpieczną drogę, by oddać pokłon narodzonemu Królowi, hołd należny tylko monarchom. Gwiazda o niezwykłej jasności zaprowadziła ich do Betlejem, do pasterskiej szopy, gdzie u stóp Jezusa złożyli dary. Dary były symbolami: złoto – to atrybut władzy i panowania, kadzidło – symbol kapłaństwa, a mirra zapowiadała mękę i śmierć Chrystusa na krzyżu. Mirra to wonna żywica, której ludy Wschodu używają do balsamowania zwłok. Trzem Mędrcom nadano imiona: Kacper, Melchior i Baltazar. Po przyjściu z kościoła z mszy Mama kreśliła poświęconą kredą inicjały ich imion na zewnętrznych drzwiach oraz bieżący rok. Wiązało się to z przekonaniem, że znaki te mają

chronić dom od nieszczęść.

Fragment książki „Ulica Żółwiego Strumienia”, Warszawa 2004, s. 52-57.

Norman Boehm, Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Thomas Tomczyk, fot. arch. AZ-B.

Część 2. Wilmington.

Grudzień 2015 r.

Pobyt w Ameryce trochę zmienił mój Bożonarodzeniowy rytuał, głownie pod względem ilości dań. Mój mąż Amerykanin zwykle sam ubierał choinkę i salonik ozdabiał różnymi stroikami przywiezionymi z pobytów głównie w Anglii i Norwegii, mamy kilka także z Polski. Dawniej mieliśmy dużą choinkę (najchętniej *Douglas* lub *Frasier Fir*, które nie gubią igieł), ale od kilku lat mamy żywą w doniczce, którą potem zasadzamy w ogrodzie. Wieczorem rozbrzmiewa muzyka kolęd z całego świata, oczywiście przywiozłam nagrania kolęd polskich. Norman czasami grał także kolędy na pianinie, ale nigdy nie nauczył się polskich. Mój syn, Tomek towarzyszy mi zawsze na święta, przylatując z najdalszych stron świata.

Wprowadziłam post w Dzień Wigilijny, choć protestanci tego zwyczaju nie mają. Pięknie przyjął się opłatek, który mi przysyła rodzina z Polski. Norman i wszyscy znajomi uważają, że to bardzo wzruszający zwyczaj. Oboje nie przepadamy za pierogami, nie przygotowuję wielu innych dań, które są tak bogato obecne na stołach w Polsce, podchodzę pod tym względem bardziej praktycznie: podaję tylko zupę i rybę. W moich stronach, w stanie Delaware, nie można kupić karpia, o którym Amerykanie mówią, że jest błotnistą, mało szlachetną

rybą, więc od lat podaję łososia. Nawet gdy byliśmy w Polsce i miałam święta z rodziną po 18 latach przerwy, karp nie smakował Normanowi tak, jak np. sandacz. (mój mąż myśli, że pyszna panga jest polską rybą, nie prostowałam, że jest eksportowana z Chin). Nie podaję śledzia, który kupiony w słoiku nie bardzo nam smakuje. Mam przywiezione z Polski suszone grzyby i podaję zupę grzybową z kluseczkami, i ona zawsze wzbudza zachwyt wszystkich koneserów. Prezenty rozpakowujemy po kolacji. O północy idziemy na pasterkę. Bardzo mi brakuje drugiego dnia świąt. Drzewa przed domem ubrane są światłami, które trzymamy kilka tygodni, nie jak wielu naszych sąsiadów, którzy zdejmują je zaraz po świętach.

Z małego miasteczka w wielki świat

Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską Boehm o wspomnieniach Normana Boehma

Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem Boehmem, fot. arch. AZB.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Na początku 2017 roku w

amerykańskim wydawnictwie Hamilton Books wyszły wspomnienia Pani męża Normana Boehma *From a Small Town to the Big World* (*Z małego miasteczka w wielki świat*). Nie każdy pisze wspomnienia, skąd u Normana taka potrzeba zapisywania obserwacji i wydarzeń ze swojego życia?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: Trochę było w tym mojej perswazji i pasji do pisania. Od lat mówiłam, że powinien napisać wspomnienia. Norman napisał we wstępie, że „Aleksandra go wciąż zachęcała". Uważam, że każdy z nas ma swoją opowieść i może ją napisać opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest osobne zagadnienie.

JS-G: Czy Norman Boehm prowadził regularny dziennik?

AZ-B: Nie prowadził dziennika. Zaczął pisać kilka lat temu, gdy byłam ponad rok na stypendium Fulbrighta. Na te stypendia jest zapraszana rodzina, Norman był ze mną. Kupiliśmy drugiego laptopa i zaczął pisać o swoim dzieciństwie, młodości, szkole, studiach, pracy za granicą. Pokazywał mi, zachęcałam, by rozwinął niektóre wątki, i tak się książka powolutku pisała.

JS-G: Jaki był dom rodzinny Normana Boehma?

AZ-B: Norman był jedynakiem, miał szwedzko-niemieckie korzenie. Jego babcia (Blenda Bergman), przyjechała ze Szwecji, poznała emigranta z Niemiec (Carl Adalberta Boehm), i pobrali się. Ich jedyny syn, Normana ojciec, urodził się w Chicago. Rodzina przeniosła się na Wschodnie Wybrzeże i w niedużym miasteczku w stanie New Jersey urodził się Norman.

JS-G: Napisała Pani piękną książkę o słynnej ciotce Normana Boehma, aktorce Ingrid Bergman. Czy w swoich wspomnieniach Norman poświęca jej dużo miejsca?

AZ-B: Norman oczywiście przywołuje spotkania ze swoją kuzynką Ingrid (w Polsce nazywano by ją ciocią). Ojciec Ingrid (Justus) i babcia Normana (Blenda) byli rodzeństwem.

W mojej książce *Ingrid Bergman prywatnie* (amerykańskie wydanie ukazało się pod tytułem *Ingrid Bergman and her American Relatives)* cytuję listy Ingrid do jego babci Blendy (ulubionej cioci Ingrid), do jego ojca, i także do Normana. Przywołuję jej wypowiedzi na temat Szwecji, Włoch, Ameryki. Piszę o jej małżeństwach, przede wszystkim, jak wielką pasją było dla niej aktorstwo. Książkę oparłam na rozmowach z Normanem, przeczytałam opublikowane książki na temat wielkiej aktorki, między innymi jej autobiografię (napisaną z Alanem Burgess) *My Story*.

JS-G: Co spowodowało, że Norman Boehm zdecydował się na dalszą naukę z daleka od domu?

AZ-B: Jego ojciec uważał, że syn powinien wyjechać z małego miasteczka, poznać inne rejony wielkiej Ameryki. Po skończeniu szkoły średniej Norman wybrał studia na Uniwersytecie w Północnej Dakocie. Jechał trzy dni autobusem. Wiele osób okazało mu serdeczność, co zapamiętał na całe życie. Tęsknił za domem, ale – jak pisze – po pierwszej wizycie na święta, cieszył się, że wracał na uczelnię, gdzie miał kolegów, gdzie należał do honorowego studenckiego stowarzyszenia – fraternity: *Alpha Tau Omega (ATO).*

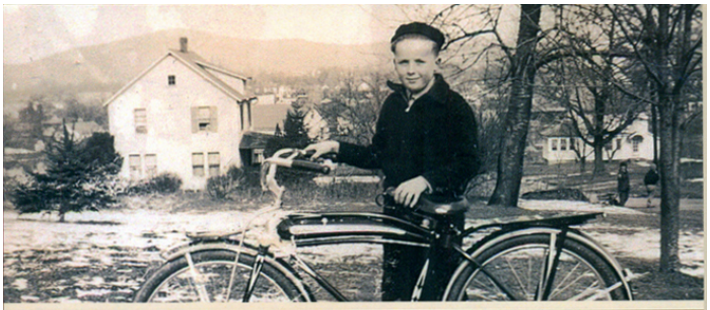

NORMAN BOEHM

From a Small Town to the Big World

Foreword by Aleksandra Ziolkowska-Boehm

HAMILTON BOOKS

"Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed, and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of *Anastasia*, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience."

—**BRUCE E. JOHANSEN**, Frederick Kayser University Research Professor, Communication and Native American Studies, University of Nebraska at Omaha

"Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, *The Roots Are Polish*. That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet, enjoy, and learn from Norman Boehm—one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and joys of flying."

—**DONALD J. KUTYNA**, 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief, North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief, United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

This is a story of a young lad who chose college far away from his small home town of Washington, NJ. He worked in the oil industry for sixteen years in Saudi Arabia, four years in London, England, and three years in Stavanger, Norway. Twenty-three years of exposure to the world's diverse cultures and peoples gave him an unwavering respect and admiration for all citizens of the world.

This book is a recollection of the events, thoughts, and experiences of Boehm's transformative travels abroad. It contains stories of classical piano lessons, learning to fly a small single engine aircraft, and meeting with his distant relative, the world famous movie actress Ingrid Bergman. This memoir honors the remarkable life of a man full of adventure and travel all over the world.

NORMAN BOEHM grew up in Washington, NJ, and studied at University of North Dakota following two years in the V-5 U.S. Naval Training Program. His top professional achievement was contract managing the construction of the North Sea oil rig installations of North Cormorant.

HAMILTON BOOKS
800-462-6420
www.rowman.com

ISBN 978-0-7618-6876-7

JS-G: Norman Boehm, po ukończeniu chemii i kolejnych kursów prawniczych, spędził 23 lata poza Stanami Zjednoczonymi – 16 lat w Arabii Saudyjskiej, 4 lata w Londynie i 3 lata w Stavanger w Norwegii zarządzając budową szybów wiertniczych. Na czym polegała jego praca?

AZ-B: Był specjalistą od układania kontraktów, które dotyczyły między innymi właśnie budowy szybów wiertniczych na oceanie. W Londynie nadzorował projekt *North Cormorant*, który w historii firmy Exxon jest uważany za „the most successful”,

ukończono go wcześniej niż przewidywano, zmniejszono przewidywany budżet, i nie było żadnych „niespodzianek”.

JS-G: Czy mieszkanie w krajach o różnych kulturach miało wpływ na poglądy Normana?

AZ-B: Ogromny. Pracowali z nim Arabowie, Palestyńczycy, Norwegowie, Anglicy. Cenił różne kultury i różnych ludzi. Zgromadzony przez niego szacunek dla „innych” został mu na całe życie.

JS-G: Norman Boehm miał też pasje – gra na fortepianie i lotnictwo. Jak je realizował?

AZ-B: Był pilotem w amerykańskim NAVY, a po latach miał swój nieduży samolot (*aeronca chief*). Bardzo kochał latanie. O tym m.in. rozmawiał z Donaldem Kutyną, amerykańskim 4-gwiazdkowym generałem, przez wiele lat szefem Air Force, który ma ogromne osiągnięcia. Napisałam o nim w książce *The Roots Are Polish*, ma bowiem polskie pochodzenie.

Jako chłopiec Norman przez osiem lat uczył się gry na fortepianie. Uwielbiał muzykę Chopina (grywał np. „Walc minutowy”), Beethovena, Schuberta, Czajkowskiego. Grywał także popularne melodie, jak “Begin the Beguine”, “Adios”, “Granada”, “My Shawl”… Do końca życia prawie każdego dnia

grał na pianinie. Cały dom rozbrzmiewał muzyką… bardzo mi tego także brakuje…

Aleksandra Zikowska-Boehm z mężem, podczas spotkania absolwentów szkoły średniej Normana, 1991 r., fot. arch. AZB.

JS-G: Proszę opowiedzieć, jak się Państwo poznali.

AZ-B: Poznaliśmy się w Stanach, byłam wówczas na stypendium. Wymieniliśmy adresy i zaczęła się korespondencja. Telefonował

co tydzień, kilka razy przyleciał do Warszawy. Niecały rok później w 1990 roku pobraliśmy się. Jest o tym rozdział w książce Barbary Henkel *Bezpieczne związki* (Wydawnictwo Nowy Świat, 2003).

JS-G: Czy zdecydowała się Pani na budowanie swojego życia w Stanach Zjednoczonych, właśnie ze względu na Normana?

AZ-B: Tak właśnie było – wyszłam za mąż i zamieszkałam z mężem w jego kraju, ale cały czas utrzymywałam i utrzymuję stały kontakt ze swoim. Zwykle dwa w razy do roku bywam w Polsce, ukazują się moje książki, mam ukochaną rodzinę i czytelników. Czeka też na mnie moje nieduże warszawskie mieszkanie, które bardzo lubię.

JS-G: Jak pamiętam, Norman Boehm uczestniczył w Pani pracy, był zainteresowany polską historią, kulturą i reagował, gdy Polska, czy Polacy byli niesprawiedliwie oskarżani.

AZ-B: Reagował pięknie. Zabierał głos, gdy ukazywały się krzywdzące Polskę artykuły. Pisywał listy do redakcji pism, w których pojawiały się różne pomówienia. Włączył się także w akcję przekonywania amerykańskich senatorów do przyjęcia Polski do NATO. (Po śmierci Normana pięknie napisała o tym Anna Bernat dla PAP-u). W książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006, red. Dobrosława Platt,

wstęp Jerzy Koźminski), są zamieszczone jego listy do senatora Joe Bidena (późniejszego wiceprezydenta), do senator Kay Bailey Hutchinson. Norman stał się niemal „polskim patriotą”. Bardzo mnie to ujmowało i było ważnym aspektem w naszym wspólnym życiu.

JS-G: Dzięki Pani pasji i pracy życie Normana stało się bogatsze o inną kulturę, którą pokochał jak swoją. Przyjeżdżał z Panią do Polski i Polskę poznał.

AZ-B: Bardzo lubił i cenił Polaków, uważał nasz naród za serdeczny, patriotyczny. O naszej historii dużo się ode mnie dowiadywał, bardzo miał piękne podejście do Polski. Żartuję czasami mówiąc, że nie znał polskiego, a ja nie tłumaczyłam mu różnych „polskich sporów”. Gdy pracował, przylatywał do Polski na krótko, zwykle dwa razy w roku. Gdy przeszedł na emeryturę – lecieliśmy oboje na siedem – osiem tygodni do Polski. Bywał na moich spotkaniach autorskich, lubił moją rodzinę, przyjaciół. Doskonale się w Polsce czuł. Wygłosił wykład na Politechnice Łódzkiej na temat etyki zawierania kontraktów. Jeździliśmy w różne miejsca, pokochał Zakopane. Z zabawnych anegdot opowiem jedną. W Zakopanem byliśmy na Gubałówce z Michałem Radgowskim, felietonistą „Polityki”. Norman patrzył na panoramę gór pełen zachwytu. – Powiedz mu, że to są góry słowackie – powiedział Michał. – A po co?… Niech podziwia i myśli, że polskie – odpowiedziałam. Radgowski tak był

zaskoczony, że napisał o tym w felietonie.

Norman Boehm i Michał Radgowski w Zakopanem, fot. arch. AZB,

Gdy lecieliśmy oboje, towarzyszyła nam nasza kotka Suzy, a potem też drugi kot. Koty także dobrze się czuły w Warszawie (napisałam książkę *Podróże z moją kotką*, która miała też amerykańskie wydanie *On the Road with Suzy from Cat to Companion*). Z naszą Suzy odwiedzaliśmy np indiańskie rezerwaty.

JS-G: Wspomnienia Normana Boehma zostały opatrzone ciepłymi refleksjami jego przyjaciół, m.in. przywoływanego wcześniej generała polskiego pochodzenia, dowódcy Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej, Donalda J. Kutyny, czy Bruce'a E. Johansena, profesora na University of Nebraska. Pamiętam, że Norman miał też dobre relacje z Joe Bidenem, senatorem z Delaware, wiceprezydentem w rządzie Baracka Obamy. Czy dużo miejsca we wspomnieniach zajmują bliscy mu ludzie i przyjaźń?

AZ-B: Norman pisze o kolegach ze szkoły podstawowej, średniej, studiów, pracy, rodzinie. Napisał, jak zachwycił się Europą, po pierwszej pierwszej podróży na ten kontynent, jak inaczej przedstawiano ją w Stanach.

Napisałam do jego książki wstęp – między innymi jakim był człowiekiem prywatnie. Zacytowałam jego – naszych przyjaciół, m. in. znanego Indianina z Montany. Oboje z Normanem jeździliśmy do obu Dakot, Montany, wspieraliśmy szkoły indiańskie (St Labre, St Joseph i Red Cloud Indian School), Crazy Horse Memorial w Południowej Dakocie (gdzie przed laty mój stryj Korczak Ziółkowski zaczął rzeźbić w skałach wodza Crazy Horse). Norman jest obecny w mojej książce indiańskiej *Otwarta rana Ameryki* (amerykańskie wydanie *Open Wounds A Native American Heritage*).

Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem Boehmem, fot. arch. AZB.

JS-G: Norman odszedł w maju 2016 roku. Czy przygotowywanie wspomnień do druku było dla Pani terapią?

AZ-B: Tak, praca nad wspomnieniami była swoistą terapią i swoistym ukojeniem. Żałuję, że Norman nie doczekał decyzji amerykańskiego wydawcy, że książki już nie zobaczył.

JS-G: Czym dla Pani było dwadzieścia sześć lat życia z mężem Normanem?

AZ-B: Gdy się spotkaliśmy obydwoje byliśmy dojrzałymi ludźmi, umieliśmy docenić każdy wspólny dzień. Myślę, że w młodości często jesteśmy zapalczywi, niecierpliwi, wymagający. Oczekujemy więcej niż sami jesteśmy gotowi dać. Na wszystko trzeba dojrzałości. Z pokorą mogę powiedzieć, że nasze małżeństwo to był dar od Pana Boga.

Normana Boehma wspominają Bruce E. Johansen i Donald J. Kutyna. Głosy wydrukowane na tylnej stronie okładki:

Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of Anastasia, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience.

BRUCE E. JOHANSEN, Frederick Kayser University Research

Professor, Communication and Native American Studies, University of Nebraska at Omaha.

***

Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, „The Roots Are Polish". That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet enjoy, and learn from Norman Boehm — one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and joys of flying.

DONALD J. KUTYNA, 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief, North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief, United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

***

Over the years i had the pleasure of conversing with Norman on a variety of topics we both found interesting, and even some that I didn't know I had an interest in until Norm brought them to life. Norm had this impressive ability to stitch together many separate and distinct conversations from the one at hand, and tie them all back together to form the fabric for another opportunity to better understand the world we live and navigate in. Norm was worldly, well-traveled, and deeply informed in a number of subject areas. Yet in all his wisdom and knowledge, he was above all else, kind, caring, non-judgmental and an appreciative soul, of the world, its inhabitants, and the cultures they express. In particular his keen interest in Native American cultures of the Northern Plains Tribes was filled with compassion, admiration, and respect for our people and our dedication to maintaining our cultural values in this fast changing world.

RODNEY TRAHAN, Member of the Northern Cheyenne Tribe, Board Member for Partnership with Native Americans.

Filadelfia 2000 r. Od lewej: Barbara Wachowicz, Norman Boehm i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. arch. AZB.

Wydawnictwo:

https://rowman.com/ISBN/9780761868767/From-a-Small-Town-to the-Big-World

Rysio. Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim.

Imieniny Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Warszawa, II poł. lat 80., od lewej: prof. Jerzy Rutkiewicz, Ryszard Kapusciński, prof.

Marek Drozdowski, fot. arch. A. Z.-B.

W dziesiątą rocznicę śmierci.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Melchior Wańkowicz opowiedział mi, że poznał Ryszarda Kapuścińskiego w mieszkaniu na Puławskiej 10, że przyprowadziła go i przedstawiła Krystyna Goldbergowa, opiekunka reporterów i znawczyni gatunku reportażu.

Opowiedział mi przy tym zabawną anegdotę, którą zupełnie inaczej przedstawiła Goldbergowa w dzień pogrzebu Kapuścińskiego, gdy czytano jego wiersze w „Gazecie Wyborczej". Nie chcę tej anegdoty teraz prostować. Rysiowi kilka lat temu powtórzyłam to, co opowiedział mi Wańkowicz, a teraz zatelefonowałam do Pani Krystyny, że znam inną wersję, opowiedzianą mi przez pisarza. Zostawiłyśmy ten temat „na boku".

W archiwum Wańkowicza zachował się numer "Nowych Książek" (Nr 3, 477, 15 luty 1970), w dużej mierze poświęcony Kapuścińskiemu, z jego fotografią na okładce. W tymże numerze Wańkowicz tak napisał o dwóch książkach Kapuścińskiego (str.177):

Książka Ryszarda Kapuścińskiego pt. „Gdyby cała Afryka…” to wytrawny rezultat wieloletniego pobytu w Afryce. (…) Walor książki polega na tym, że autor zna Afrykę w głąb. Stąd lekkość i celność analogii, stąd szeroki wachlarz wiadomości zarówno o rozrzutności władców połączonej z prymitywizmem, jak i o zabobonach ich poddanych. Kapuściński nigdzie nie da się za daleko zapędzić w anegdoty, choć umie się nimi posiłkować. Ani nigdzie nie przybiera tonu łaskawej pobłażliwości białego człowieka.

Książka „Kirgiz schodzi z konia”…… Ileż Kapuściński nałapał zapachów ciągnących z Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Turkmenii, Tadżykistanu, Buchary! Potwierdza swoją książką, że dobry reportaż potrzebuje również artystycznych witamin.

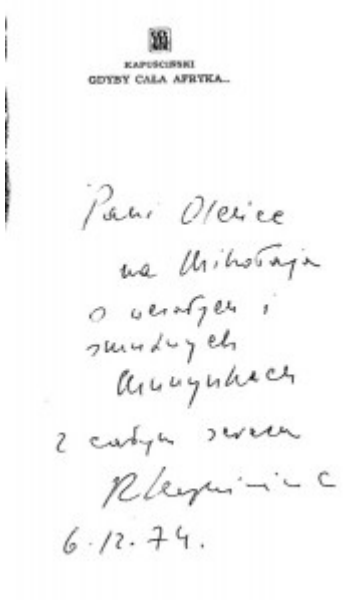
KAPUŚCIŃSKI
GDYBY CAŁA AFRYKA...

Pani Olenice
na Mikołaja
o wielkich i
zwykłych
kłopotach
z całym sercem
Kapuściński
6.12.74.

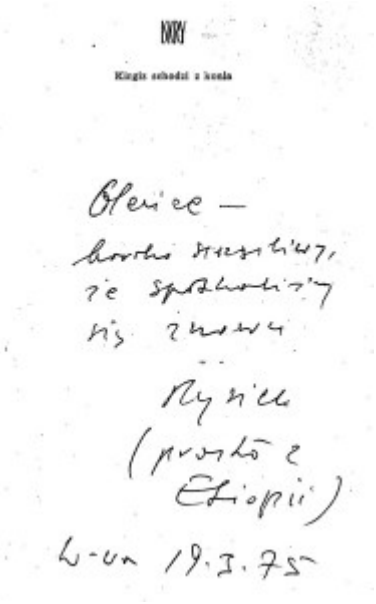
Kiedy schodzi z konia

Olenice —
bardzo szczęśliwy,
że spotkaliśmy
się znowu
Ryszard
(prosto z
Etiopii)
W-wa 19.I.75

Ryszard Kapuściński po śmierci Melchiora Wańkowicza napisał w warszawskiej “Kulturze” (22 września 1974):

> Kiedyś Wańkowicz napisał o sobie pół żartem, pół serio, że jest „pierwszym pisarzem polskim pracującym na zamówienie społeczne”. Był mistrzem reportażu, a reportaż z samej swojej istoty jest formą odpowiadania na zamówienie

> społeczne. Najlepszym przykładem jest jego przedwojenna jeszcze rzecz, o polskim wysiłku gospodarczym. „Sztafeta” to pierwszy w naszej literaturze wielki reportaż – produkcyjniak, który tak upowszechnił się w Polsce po wojnie i stanowi do dziś ważny nurt literatury faktu. U początków tego nurtu stoi wańkowiczowska „Sztafeta”. Wańkowicz zachęca przyszłych reporterów: nie bójcie się cyfr, to wszystko jest ważne, to ma swoją wymowę, ma znaczenie i dla tych, którzy tworzą kraj i dla tych, którzy o tym czytają. I żeby zachęcić najlepiej, bo własnym przykładem, gromadzi w „Sztafecie” tysiące informacji – ile ziemi wykopano pod fundamenty, ile wagonów cementu przewieziono, ile wyprodukujemy stali, do czego ta stal będzie użyta. Tony, hektary, metry, ceny – wszystko dokładnie wyliczone. Ale w tej powodzi cyfr, wyliczeń, statystyk, jest zawsze miejsce na żywą scenkę, na głos ludzki, na las, na człowieka i na tego zająca w Stalowej Woli, który „sadzi wyrwą między rosnącymi blokami”.

Ryszarda Kapuścińskiego poznałam u Zenony Macużanki, ówczesnej redaktor naczelnej „Nowych Książek”, niebawem po śmierci Wańkowicza, jesienią 1974 roku. Był znany jako „doskonały reporter”, ale nie był jeszcze autorem „Cesarza”, pierwszej książki, która zyskała szczególną uwagę i uznanie.

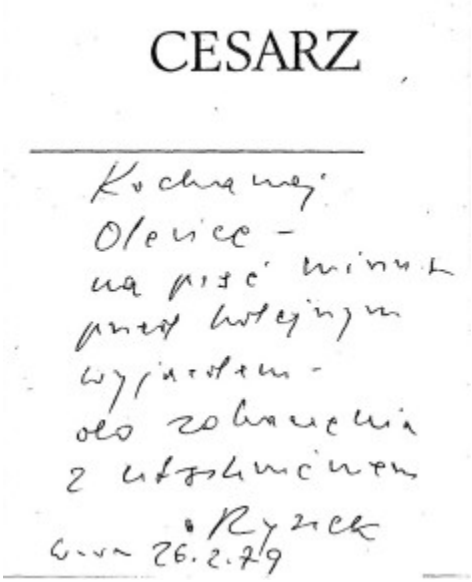
CESARZ

Kochanej
Olenice –
na pięć minut
przed kolejnym
wyjazdem –
do zobaczenia
z utęsknieniem
Ryszek
Gdańsk 26.2.79

Zwróciłam uwagę, jak serdecznie, delikatnie się odnosił do innych ludzi i do mnie, wtedy bardzo młodej, świeżo po studiach osoby. W tym okresie byłam swoistą, o ile tak mogę napisać, sensacją. Kilka tygodni wcześniej zmarł wielki pisarz, i jak się dowiedziano, w testamencie zapisał młodziutkiej asystentce swoje archiwum. Wcześniej zadedykował mi drugi tom „Karafki La Fontaine'a" (*…..bez której oddanego współpracownictwa, byłaby to jeszcze gorsza książka*, jak zabawnie napisał).

Niektórzy byli mnie ciekawi, zapraszali na spotkania, przy okazji wypytywano o Wańkowicza: jaki był "na co dzień". Nie chciano słuchać o pomniku, chciano słuchać o człowieku.

Odpowiadając na to zainteresowanie, zachęcona przez przyjaciół (Michała i Krystynę Radgowskich), także wydawcę (Andrzeja Kurza z Wyd. Literackiego) zaczęłam pisać książkę. Chciałam

utrwalić chwile, które szybko zacierają się w pamięci. Nie zastanawiałam się, czy burzę jakiś mit, czy też tworzę nowy, nie chodziło mi o syntezę jednego życia, lecz raczej o ukazanie wielu dni powszednich z ostatnich lat wielkiego pisarza. Książka stała się zapisem wydarzeń, anegdot z życia w bliskości pisarza. Kiedy zastanawiałam się jak książkę nazwać, zapamiętałam radę właśnie Ryszarda Kapuścińskiego. – Musisz umieścić w tytule nazwisko Wańkowicza. Tytuł powinien być krótki, zatem dodaj jeszcze jedno słowo, na przykład: obok, blisko. Lepiej brzmi: blisko. I tak Kapuścińskiemu zawdzięczam tytuł swojej pierwszej książki. ”Blisko Wańkowicza” wydało krakowskie Wydawnictwo Literackie w trzech wydaniach i ogromnym nakładzie. Do dzisiaj wielu czytelników pamięta moją pierwszą książkę.

Kapuściński mówił mi, że będąc polonistką, nawet z doktoratem, trudno jest nadążyć za literaturą polską i światową. Dobrze więc, gdy się ma temat wybrany, na przykład pisarza, na którego twórczości się dobrze zna.

Po latach, kiedy w 2005 roku mówiono o jego kandydaturze do Nobla, Kapuściński w portrecie/wywiadzie Bartosza Marca dla „Rzeczpospolitej” stwierdził, że spośród polskich reporterów za swoich mistrzów uważa Melchiora Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego. Powiedział także:

> Aleksandra Ziółkowska-Bohem, sekretarka Wańkowicza, zapamiętała jego rady: powinno się mieć swoją pasję, znaleźć dziedzinę, w której jest się ekspertem i o której chce się wiedzieć coraz więcej. (Przyp. Bartosz Marzec, ZARYZYKUJ WSZYSTKO, Plus Minus, RZECZPOSPOLITA, Nr 236, 10 sierpnia 2005, str. 7).

Na orzeczenie Nagrody Nobla czekałam, zdając sobie sprawę, jak uhonorowałoby to także literaturę faktu. Zmienia się świat, i zmienia się Polska, pamiętam, jak Kapuściński powiedział mi w początkowych latach 70., że odmówiono mu przynależności do ówczesnego Związku Literatów. Niedługo później każdy związek twórczy w Polsce i na świecie będzie dumny, że wielki reporter zechce być jego członkiem.

Przyjaźń z Ryszardem Kapuścińskim rozwinęła się i stała się jedną z cenniejszych i ładniejszych, jaką mi dobry Los ofiarował. Przetrwała ponad 30 lat, aż do mojego przyjazdu do Polski na stypendium Fulbrighta, kiedy mogłam osobiście uczestniczyć w jego pogrzebie.

Rysio, przez te wiele lat, do mojego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, przychodził w końcu lutego na imieniny. W czasie dość licznego zgromadzenia mój mały wtedy synek, szedł do swojego pokoju i siedział sam. Tam właśnie przychodził do

niego Rysio, jeden jedyny, który dostrzegł swoistą izolację i nieśmiałość dziecka. W pokoju Tomka, na ścianie wisiała duża mapa świata. Rysio mówił mu, że marzenia o podróżach można spełnić, że można pojechać wszędzie, na przykład do Afryki.

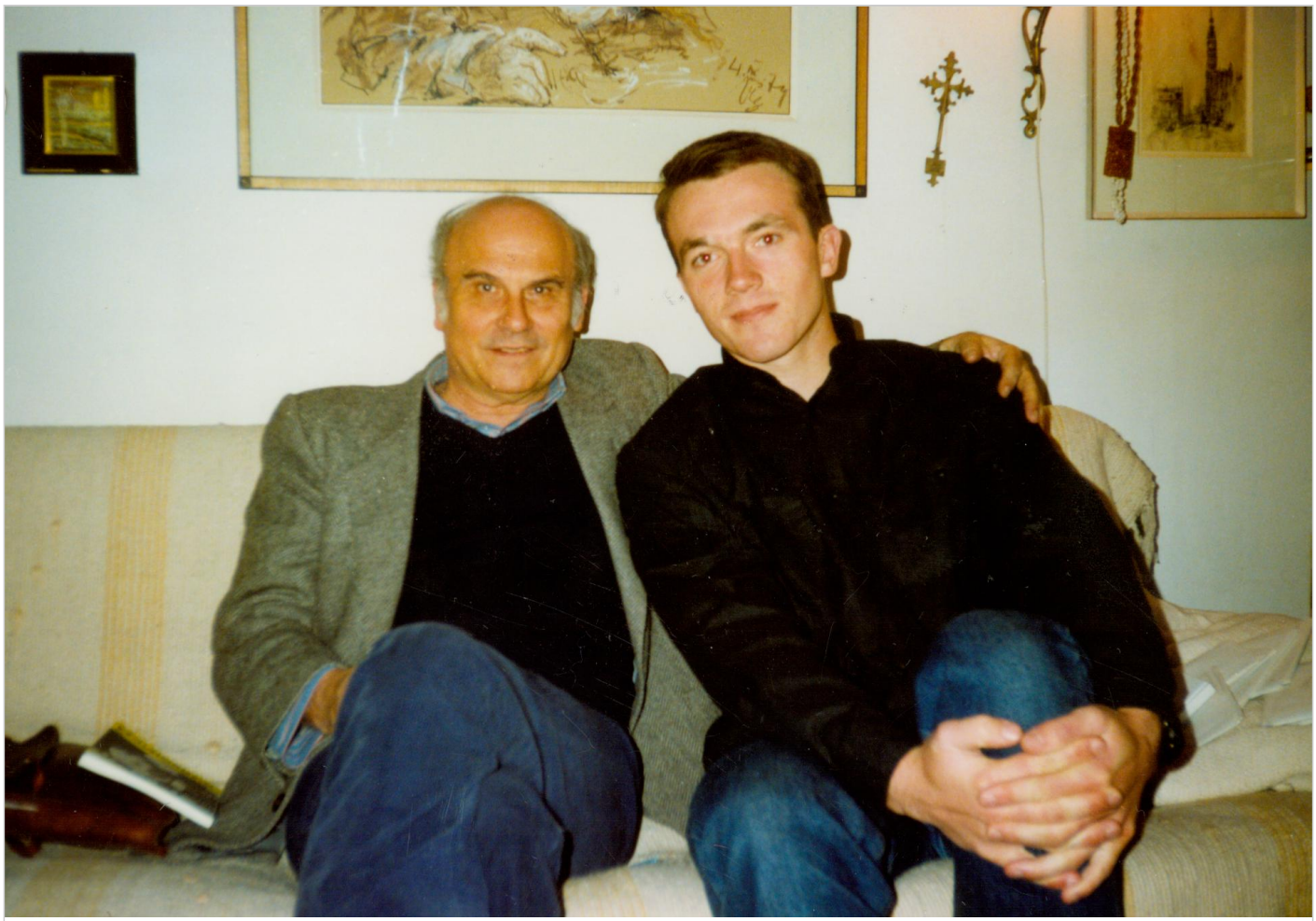

Ryszard Kapusciński wraz z synem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Tomaszem Tomczykiem, Warszawa, 7.11.1990 rok, fot. arch. A.Z.-B.

Tomek jest teraz dziennikarzem, podróżnikiem, właścicielem własnego pisma na Karaibach. W Afryce był kilka razy, pracę

magisterską pisał o rozbudowującej się kolei w Erytrei, w „Polityce” wydrukował duży reportaż „Sudańska fabryka głodu”.

Rysio pokazywał małemu Tomkowi swój…”bokserski nos”, mówiąc, że mu usunięto chrząstkę, gdyż w młodości uprawiał boks. (Dorastający Tomek także między innymi sportami zajął się boksem).

Jesienią 1975 roku pożyczyłam Rysiowi niedużą walizeczkową maszynę do pisania. Była to metalowa szwajcarska maszyna marki „Hermes”. Miał jakiś kłopot ze swoją, a to była słynna maszyna Wańkowicza, o której pisarz pisał, że przeszedł Dniestr, niosąc ją wysoko w rękach. Powiedziałam, aby mu przyniosła szczęście. Rysio zwrócił mi ją po powrocie z Angoli. Mam tę maszynę u siebie w warszawskim mieszkaniu.

Żona Ryszarda, Alicja Kapuścińska, z zawodu lekarz pediatra, była zaprzyjaźniona z lekarką mojego Tomka, dr Reginą Wańkowicz-Ponurską (kuzynką Wańkowicza). Spotykałyśmy się na wystawie fotografii Kapuścińskiego, a także u mnie na warszawskim Mokotowie przy ulicy Kmicica. Alicja przychodziła na moje spotkania autorskie. Miałam także okazję rozmawiać z Zojką, córką Rysia i Alicji, która mieszkała lata w Kanadzie. Podobnie, jak siostra Ryszarda, mieszkanka Vancouver.

Rysio miał w sobie delikatność, swoistą chłopięcość, która nie

mijała z latami. Miał też skromność, i jednocześnie szczególną emocjonalność, którą widać w pięknych, niemal osobistych, dedykacjach. Ale takie właśnie pisał. Ceniło się nie tylko jego książki, ale to, jakim był człowiekiem. Miał rzadką cechę całkowitego skupienia się na osobie, z którą rozmawiał. Pytał każdego o jego sprawy, wiedział, jakie są ważne dla jego znajomych i przyjaciół. A miał ich całe rzesze. W autobiograficznej książce „Ulica Żółwiego Strumienia”, której pisanie było dla mnie swoistą terapią „polsko- amerykańską”, pisałam o Rysiu, że podziwiam u niego „dyplomatyczne umiejętności gromadzenia wokół siebie wielu przyjaciół”.

Projekt: Szymon Kobyliński

Miał zwyczaj dawania znajomym do lektury, z prośbą o komentarz, swoją przyszłą książkę. Dawał mi do czytania wiersze, czy np. Lapidaria. Pierwszy tom Lapidariów trochę mnie zaskoczył. W formie dziennika prowadził zapiski myśli, skojarzeń, uogólnień, trochę notatek. Pisał na przykład, że warunkiem ujarzmienia społeczności jest zepchnięcie jej na niski poziom egzystencji. Zmniejszenie wygody, zwiększenie zagrożenia jest następstwem polityki tych, którzy chcą umocnić swoje panowanie. Wiedzą oni, że człowiek wyczerpany walką z tysiącem przeciwieństw jest łatwym obiektem manipulacji. Walka dla człowieka to przetrwanie, a jest to zajęcie absorbujące, czasochłonne, wyczerpujące. Pisał, że zarówno ubóstwo potrzeb, jak i ubóstwo materialne są wygodne dla władzy. Bieda osłabia i przygniata człowieka, a ktoś, kogo potrzeby są ubogie, nawet nie wie, że istnieją rzeczy, których mógłby się domagać, walczyć o nie. Nasze ocalenie? – W dążeniu do rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Według mnie Rysio właśnie sobie umiał stawiać cele, jakby niemożliwe do osiągnięcia.

Kiedy po ponad dwuletnim pobycie w Kanadzie na Boże Narodzenie 1983 roku wróciłam do Polski, rzeczywistość dalece odbiegała od obecnej. Pewnego dnia zatelefonował Rysio.

– Wiesz, nie mam wody w mieszkaniu… – powiedziałam.

– To normalne, nie przejmuj się. Mój kolega nie ma ogrzewania,

cały dzień w wannie siedzi.

– Może grzać ręce nad gazem, słyszałam, że tak ludzie robią…

– Ale lepiej, jak wyłączą ciepłą wodę niż zimną, bo we wrzątku nie będziesz się myła…

– Ale ja w ogóle nie mam wody, wyłączyli, bo jakaś awaria. Przynosimy z Tomkiem wodę w wiaderkach z cysterny, którą podstawiono. Przed blokiem kałuża, bo woda wylewa się, wszystko zamarzło…

– Ludzie będą nogi łamać, gips będzie potrzebny, gipsu nie ma, bo nie ma dewiz…

W 1984 roku odwiedził Warszawę senator kanadyjski (polskiego pochodzenia, napisałam o nim książkę) Stanley Haidasz. Zaprosił mnie i Tomka na kolację, Rysia zaprosiłam także.

Z Haidaszem, Rysiem i z Tomkiem pojechaliśmy na kolację do „Baszty” pod Warszawę, Rysio zmienił w ostatniej chwili stolik (z ostrożności). Mówił, że Polska nie oczekuje takiej pomocy, jak kraje afrykańskie, nie potrzebuje np. kaszy, czy butów, bo tutaj ludzie nie umierają z głodu. Trzeba sobie zdać sprawę, jak ocalić naukę, dostęp do literatury, osiągnięć Zachodu. Przerwano prenumeraty pism specjalistycznych, bo nie było dewiz. Co

stanie się z myślą techniczną, z nauką, medycyną, jeżeli nie będziemy wiedzieli, co dzieje się u innych, odcięci od literatury naukowej, podkreślał Kapuściński.

Senator Haidasz powiedział, że więcej dowiedział się od Kapuścińskiego niż od wszystkich ludzi, z którymi spotkał się wcześniej.

I pisma naukowe otrzymały dotacje. To się zawdzięcza Ryszardowi.

W 1984 roku literaci, artyści nie pracujący na etacie mogli otrzymać specjalne zaświadczenia z urzędów dzielnicowych, które pozwalały im na opiekę lekarską. Na warszawskim Mokotowie pracowała Wanda Rogowiczowa, wdowa po tłumaczu, urocza siwa pani z piękną kartą wojenną. Poszliśmy do niej na Rakowiecką. Ryszard mieszkał na Woli, ale przyrzekła zatelefonować na Wolę, by mu załatwili „druczek”. W trakcie rozmowy spytała. – Dlaczego pan nie mieszka na Mokotowie? My tu dbamy o ludzi… Potem zapytała, gdzie się urodził. Kiedy w odpowiedzi usłyszała, że w Pińsku (ona koło Nowogródka), że jest Poleszuk, to wstała i ucałowała go. Głaskała go po rękawie i zaczęli przekrzykiwać się we wspomnieniach. Była to cudowna scena. Wydała mu zaświadczenie. – Nie szkodzi, że nie z Mokotowa, biorę pana pod swoją opiekę – orzekła.

Kiedy wyszliśmy, powiedziałam wzruszona do Rysia:

– Popatrz, przepisy są w całym kraju takie same, ale zobacz, jaka może być różnica. Jak człowiek może być traktowany życzliwie, pomocnie.

– Oczywiście, tutaj jest jeszcze ciepło, którego nie uświadczysz na Zachodzie – powiedział.

Nie wiedziałam wtedy, że zamieszkam na stałe w Stanach Zjednoczonych.

Jadąc do Anglii, spytał mnie o moich przyjaciół, których odwiedzałam. Podzieliłam się londyńskimi adresami, telefonami. Urządzono mu prywatne piękne spotkanie, zachwyceni nim byli absolutnie wszyscy. Spotkał go duży sukces, pokazywano w BBC, gazety cytowały na pierwszych stronach. Powiedział mi po powrocie:

– Polska jest enklawą, jedynie jeszcze tu ludzie czytają książki. Na Zachodzie co godzinę wychodzi 180 książek, ale największą popularnością cieszą się filmy, kasety, wideo (…). Trzeba się zastanowić – jaki temat ma rangę światową i dopiero wtedy pisać. Co z tego, że powstanie jeszcze jedna powieść?…

W 1987 roku z Anglii przyjechał zespół Teatru Królewskiego ze

sztuką według książki Kapuścińskiego „Cesarz”, którą pokazano w teatrze „Studio”. Oboje z Tomkiem byliśmy zaproszeni przez Ryszarda. Rolę tytułową grał karzeł przykuty do wózka inwalidzkiego.

Pamiętam, jak Rysio autentycznie cieszył się swoimi pięknymi sukcesami w świecie. Przynosił w teczce książki – tłumaczenia. Wszyscy się z nim cieszyliśmy.

Przytoczę jego karteczki z końca lat 80:

> St. Anthony’s College, Oxford OX2 6JF England)
> Oxford, 10. 5.86
> Kochana Oleńko! Oxford tylko na pocztówce jest taki słoneczny, w rzeczywistości leje tu bez przerwy, jest zimno i pisząc do Ciebie siedzę w kurtce. Zmarznięty i z grypą, a jest chyba 10 maja. Będę tutaj do końca czerwca. Akurat wydali w Londynie „Szach-in-Szacha” (równocześnie wyszedł we Francji i RFN – z tego powodu mam ciągłe zawracania głowy o wywiady. Tutaj wykładam, czytam, mam wieczory autorskie – dużo wszystkiego. Co u Ciebie? Serdeczności dla Tomka!
> Całuje Cię i ściskam najmocniej.
> Rysiek

Ryszard Kapuściński
St.Antony's College
Oxford OX2 6JF
England

Pocztówka z Gubałówki bez daty (koperta się nie zachowała)

> Oleńko, słonko złote – dzięki za uroczą kartkę. Tu jest bardzo pięknie, pogodnie, biało górzyście. Mnóstwo kolegów, bo odbywają swoje mistrzostwa narciarskie. Ja, jako człowiek, który nigdy nie miał nart na nogach, występuję w roli sędziego.
> Jesteś urocza, że o mnie pamiętasz. Zaraz po powrocie zadzwonię.
> Całuję mocno
> Rysiek

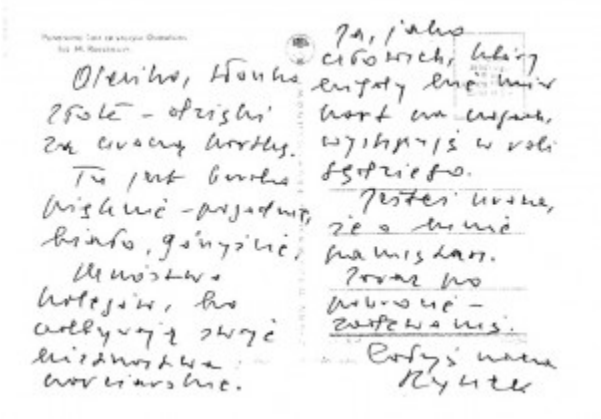

Oslo, 25 sierpnia 1986
Droga Oleńko i Tomku!
Pozdrawiam Was serdecznie z Oslo. Pięknie tu, trochę jak w Krynicy, albo w Zakopanem Ludzie bardzo sympatyczni.
Wracam początek września – zadzwonię.
Pozdrawiam serdecznie
Rysiek

Gdy odwiedziłam Polskę w 1990 roku, zaprosił mnie i mojego męża, Normana, do restauracji „Harenda” na Krakowskim

Przedmieściu. Ładnym angielskim opowiadał o pobycie w Filadelfii na stypendium. Mój powściągliwy mąż odtąd stał się jego wielkim zwolennikiem. Kupowaliśmy amerykańskie wydania książek Rysia i obdarowywaliśmy naszych przyjaciół.

Gdy każdego roku przyjeżdżałam do Polski, telefonowałam, czasami z wahaniami, myśląc, że jest zajęty i że nie chcę mu zabierać czasu. – Musisz obiecać, że zawsze będziesz dzwonić, mówił. Znajdywał czas i szliśmy na kawę. Pokazał mi swój nowy dom na Kolonii Staszica, jak kiedyś pokazał mieszkanie w blokach na Jelonkach, przy ulicy Pustola. W obu miejscach zwrócił mi uwagę na widok z okna – na drzewa.

Książki Ryszarda wydawane po 1990 roku mam w bibliotece w domu w Delaware. Od kiedy mieszkam w Stanach Zjednoczonych czytałam o nim na łamach nowojorskiego „Nowego Dziennika", dodatku literackiego „Przegląd Polski", który starannie prowadzi Julita Karkowska. Informowała o każdej nowej nagrodzie i wyróżnieniu. Doskonałe omówienia kolejnych książek drukował Marek Kusiba, zachowałam kilka z nich w swoim archiwum. Pamiętam też wywiad Czesława Karkowskiego przeprowadzony w czasie kolejnego pobytu Kapuścińskiego w Ameryce.

Zachowałam wiele wycinków na temat Ryszarda Kapuścińskiego drukowanych w prasie amerykańskiej. Widziałam na popularnej stacji PBC rozmowę z nim znanego dziennikarza, Charlie Rose.

W 2006 roku Rysio napisał, że ma kłopoty ze zdrowiem. Miał je od dawna, po powrotach z podróży, miał też zabiegi na kręgosłup.

Przyjechałam do Polski jako stypendystka Fulbrighta na dziewięć miesięcy. W przeddzień mojego spotkania w Salonie Pisarzy w Bibliotece Narodowej, Alicja Kapuścińska, nagrała wiadomość, że nie będzie obecna, bo Rysio ma tego dnia operację.

Zadzwoniłam kilka dni później, rozmawiałyśmy ponad godzinę. Umówiłyśmy się, że zatelefonuję za tydzień, kiedy miały być wyniki analiz.

Następnego dnia Ryszard Kapuściński zmarł.

Ryszard Kapuściński, fot. DailyMaverick.co.

W „Lapidarium" napisał, że w miarę jak upływa czas, życie staje się coraz bardziej podróżą w głąb naszej własnej przeszłości, w głąb siebie. I że ci nowi przybywający na świat coraz mniej nas obchodzą, bowiem nie przybywają dla nas.

Cieszę się, że miałam szczęście, dar od losu, znać Ryszarda Kapuścińskiego. Ogromnie sobie cenię, że Ryszard przybył na

świat „w tym samym czasie”.

Mam w saloniku krzyż koptyjski, prezent od niego. Mam Różę wiatrów, koraliki. I mam, jak my wszyscy, jego książki.

***

Mam wiele książek z dedykacjami Kapuścińskiego. Wszystkie dedykacje są serdeczne i pełne uczuć. Jakby miał ich w sobie tak wiele, że chętnie nimi obdarzał innych.

Pierwodruk wspomnienia Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem: „List oceaniczny” – Dodatek Kulturalny „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, luty 2007, nr 50.

http://www.gazetagazeta.com/artman/publish/article_17083.shtml

Zobacz też:

http://aleksandraziolkowskaboehm.-blogspot.com/2017/01/ryszard-kapuscinski-wspomnienie.html

GALERIA

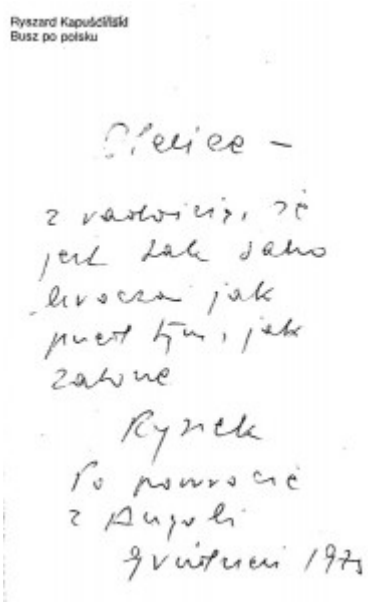

Ryszard Kapuściński
Busz po polsku

Olenice –

z radością, że
jest tak samo
wrocław jak
przed tym, jak
zawsze

Ryszek
po powrocie
z Angoli
grudzień 1975

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem
na ramieniu

Kochanym
Olenice i Tomkowi
od tego, ~~którego~~
jest z Wami
tak blisko
Ryszard Kapuściński
Warszawa
16.10.1987

CZYTELNIK · WARSZAWA 1976

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

DLACZEGO ZGINĄŁ
KARL VON SPRETI

Olenice –
z chęcią
napisemy
XX książek.

Ryś

W-wa 12.4.75

Kapuściński
Jeszcze dzień życia

Kochanej
Olenice –
życzę sobie,
żeby była dla
mnie taka jak
zawsze

Ryszek

Warsz 20.5.78

Ryszard Kapuściński

Kochanym
Olcice i Tomkowi
z radością że Ich
widzę, z satysfakcją,
że spotkamy się
wkrótce

z tęsknotą

Rysiek
Warszawa 7.11.1990

Ryszard Kapuściński

Notes

Kochany
Olcice
na pamiątkę

Rysiek
26.10.
87

Czytelnik · Warszawa 1986

Ryszard
Kapuściński

Szachinszach

Czytelnik
Warszawa
1983

Kochany
Henie
z ciepłą
wdzięcznością
za książkę

Ryszard

Warszawa 27.3.84

Ryszard Kapuściński

THE EMPEROR

Translated from the Polish by
William R. Brand and
Katarzyna Mroczkowska-Brand

To jest
książka
dla Olgi

wraz
ze Stanem
z Londynu

z miłością

Ryszard

PICADOR
published by Pan Books

Warszawa
22.8.84

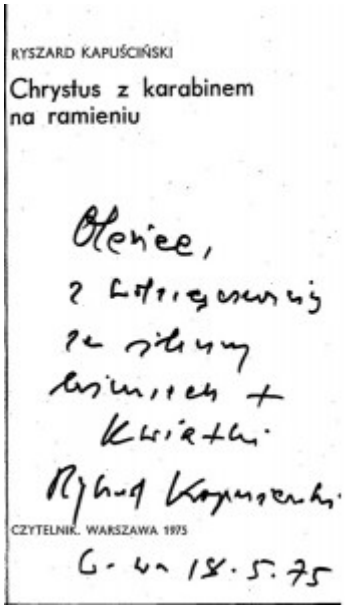
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem na ramieniu

CZYTELNIK. WARSZAWA 1975

Wokół angielskojęzycznych

książek Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm

Aleksandra Ziółkowska-Boehm w swoim domu w Wilmington, fot. arch. AZB.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pani książki są już od dawna dostępne w anglojęzycznym świecie. Zaczęło się od Kanady. Proszę przypomnieć historię związaną z opublikowaniem Pani pierwszej książki po angielsku.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: W 1981 roku przyjechałam do Toronto na roczne stypendium Kanadyjsko Polskiego Instytutu Badawczego i Fundacji Reymonta. Niebawem zaczęłam pracę przy książce poświęconej pierwszemu w historii senatorowi polskiego pochodzenia, który zasiadł w senacie kanadyjskim. Wcześniej został pierwszym ministrem wielokulturowości, którą premier Trudeau ogłosił w 1971 roku jako politykę rządu. Był człowiekiem dużej kultury i wielkich zasług także na rzecz Polonii i Polski. Przyczynił się (jako lekarz) do wprowadzenia udoskonalenia w szpitalu w Zakopanem specjalistycznych operacji kręgosłupa przeprowadzanych u dzieci dotkniętych skoliozą. Miał wielkie zasługi dla katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Senator Haidasz czynnie się włączył w książkę na swój temat, użyczył mi materiałów, czasu i pełnego poparcia.

J.S-G: W Kanadzie zastał Panią stan wojenny i czy wtedy przedłużyła Pani pobyt o kolejne półtora roku?

A.Z-B: Tak właśnie zrobiłam. W tym czasie Ministerstwo Kultury

Ontario (*Ontario Ministry of Citizenship and Culture*) ogłosiło konkurs na książkę o emigrantach. Wysłałam 30 stron tekstu n.t. polskich emigrantów i konspekt, przywołałam znane nazwiska, np. dziennikarza radiowo-telewizyjnego Petera Gzowskiego, byłego polskiego konsula Tadeusza Brzezińskiego, Jesse Flisa – wieloletniego członka Parlamentu Kanady i wielu innych. Pisałam, że chcę pokazać emigrantów, którzy dużo osiągnęli, jak i tych, którzy z różnych przyczyn nie są zadowoleni. Aby powstała pełna mozaika i obraz prawdziwy.

J.S-G: Okazało się, że konkurs wygrały trzy osoby: Japończyk, Ukrainiec i Pani.

A.Z-B: Ucieszyłam się, ale niebawem powiedziano mi, że nie mogę otrzymać tego stypendium, bo nie jestem … Kanadyjką. W czasie rozmowy rozżalona mówiłam, że mam wielki entuzjazm do tego projektu i uważam, że cofnięcie stypendium to swoista niesprawiedliwość. Poskutkowało, bo powiedziano mi, że chcą je zatrzymać dla mnie, ale muszę znaleźć stowarzyszenie lub organizację, która podpisze zobowiązanie, że jeżeli nie napiszę książki i wrócę do Polski, to stypendium zostanie zwrócone. Okazało się, że Polonia odpowiedziała serdecznie, bardzo ładnie zareagowało Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie, które takich gwarancji udzieliło.

Dostałam roczne stypendium, osobne fundusze na podróże, i

zabrałam się z radością do pracy. Książka dostała także od Ontaryjskiego Ministerstwa Kultury stypendium na tłumaczenie i ukazała się w Toronto w 1984 roku się p.t. *Dreams and Reality. Polish Canadian Identities*. Później ukazała się w języku polskim w Polsce pod tytułem *Kanada, Kanada….*

J.S-G: Potem były kolejne anglojęzyczne, kanadyjskie wątki, poświęcone Senatorowi Haidaszowi i polskiej grupie etnicznej w Kanadzie.

A.Z-B: Książkę *Senator Haidasz* w 1983 roku wydała mi Polonia w Kanadzie (wydawca: *Century Publishing Company Ltd*). Sześć lat później ukazała się w Polsce pt. *Kanadyjski Senator.* W 2014 roku, pięć lat po śmierci senatora Haidasza, uzupełnioną przeze mnie o blisko 30 stron książkę, wydał *Polish Institute of Arts and Sciences* w Montrealu pt. *Senator Stanley Haidasz A Statesman for All Canadians*. Na tylnej okładce napisali opinie: Zbigniew Brzeziński, Jesse Flis, premier Kanady Stephen Harper, szef partii liberalnej Michael Ignatieff i senator Art Eggleton. Cieszę się, że publikacja ta starannie wydana trafi do blibliotek i zostanie ślad po tej szlachetnej postaci, jaką był senator Haidasz. Swoją polskość nosił z dumą jak sztandar.

W 2004 roku ukazał się wydany przez Kanadyjsko Polski Instytut Badawczy w Toronto (*Canadian Polish Research Institute*) mój zbiór wywiadów z Kanadyjczykami i Amerykanami polskiego

pochodzenia zatytułowany *The Roots Are Polish.* Wśród rozmówców byli m.in. generał Donald Kutyna, profesor Andrew Schally, Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Marek Jaroszewicz, Zdzisław Przygoda, Charles S. Kraszewski, Czesław Miłosz, Isaak B.Singer…Wstęp do książki napisał generał kanadyjski Bruce J. Legge. Napisał m.in., że *„Ziolkowska'Boehm's remarkable book sparkles with being Polish*"

J.S-G: Spokrewniony z Panią rzeźbiarz Korczak Ziółkowski zasłynął budową monumentalnego pomnika indiańskiego wojownika Crazy Horse w Południowej Dakocie. Pani już po śmierci stryja spędziła w rezerwacie Pine Ridge kilka miesięcy, poznając Indian i ich problemy. Dlaczego książka „indiańska" ukazała sie najpierw po polsku?

A.Z-B: Korczak Ziółkowski, rzeźbiarz, został poproszony przez wodza Siuksów Standing Bear o utrwalenie w Czarnych Wzgórzach Południowej Dakoty postaci słynnego Indianina Crazy Horse. Standing Bear powiedział, że Indianie „też mają swoich bohaterów". (Wcześniej Korczak brał udział w rzeźbieniu głów amerykańskich prezydentów w Mount Rushmore, którymi pracami kierował Gutzon Borglum).

Kiedy Amerykanie w ramach stypendium Fulbrighta w 1985 roku wysłali mnie do Południowej Dakoty i zobaczyłam pierwszy raz

ośrodek *Crazy Horse Memorial*, pomyślałam, że skoro mój stryj podjął się takiej wielkiej sprawy, jak rzeźby w skałach wodza Indian, to może ja… napiszę o Indianach. Pomysł był trudny, ale starannie się do niego przygotowywałam. Zaprenumerowałam dwa pisma indiańskie – „Indian Country Today" i „Lakota Times", nawiązałam kontakty z Indianami. Książkę pisałam z dużymi przerwami 10 lat. Zaczęłam drukować swoje teksty poświęcone amerykańskim Indianom w pismach „Odra", „Polityka", „Ameryka", „Borussia", „Przegląd Powszechny", „Arkusz", „Nowy Dziennik/Przegląd Polski".

W Polsce, gdzie od 1975 roku ukazują się moje książki (Wydawnictwo Literackie wydało moją pierwszą *Blisko Wańkowicza)*, w 2007 roku indiańską zatytułowaną *Otwarta rana Ameryki* pięknie wydało wydawnictwo Debit.

J.S-G: Jaki oddźwięk był po ukazaniu się Pani książki dotyczącej problemów Indian wśród samych Indian?

A.Z-B: Kiedy znajomi Indianie dowiedzieli się, że książka jest wydana po polsku, dość szybko zarekomendowali jej amerykańskie wydanie. We wstępie wydawca i ja dziękujemy Apaczom, którzy ją sponsorowali.To była moja pierwsza książka w języku angielskim wydana w Stanach Zjednoczonych. Ukazała się w 2009 roku pt. *Open Wounds A Native American Heritage*. Książkę zaopiniowało wielu Indian (m.in. znany Apacz Homer

Flute), recenzowały ją pisma indiańskie, zakupiły biblioteki.

J.S-G: Wydawnictwo uniwersyteckie**,** Purdue University Press, wydało Pani piękną książkę o bezinteresownej przyjaźni – *Podróże z moją kotką* (angielski tytuł: *On the Road With Suzy From Cat to Companion*, 2010). Czy dostaje Pani listy, w których czytelnicy opisują historie związane z ich pupilami?

A.Z-B: Dostaję takie właśnie listy, jak i pytające, czy się znalazł drugi kot, o którego zaginięciu napisałam na samym końcu. Dzięki także tej książce poznałam wiele interesujących osób, bowiem koty… zjednują przyjaciół. Rozmawiamy chwaląc się nimi (nie wypada tak robić np. mówiąc o własnym dziecku) i mówiąc, jakie są wspaniałe. Kochający koty to swoisty klub ludzi z otwartym dużym sercem.

Doceniam, że tę książkę wydało wydawnictwo uniwersyteckie, które wydaje piękne książki o zwierzętach. To wydawnictwo jakby mi ją nobilitowało. Ma ona kolejne dodruki i miewa się dobrze.

J.S-G: Bardzo ważną dla nas Polaków sprawą jest przedstawienie polskiej historii amerykańskiemu odbiorcy, szczególnie tej dotyczącej okresu II wojny światowej. Do tej pory ukazały się trzy Pani książki w tłumaczeniu angielskim: *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża* (Muza 2006, 2014),

Lepszy dzień nie przyszedł już (Iskry 2012), oraz historia jednego z Hubalczyków, Romana Rodziewicza. Skąd ten wybór?

A.Z-B: Po wydaniu dwóch książek, o tematyce indiańskiej i kociej, bardzo chciałam, by ukazały się moje reportaże historyczne pokazujące losy Polaków, których wojna wyrzuciła z domów, z ziem ojczystych, zabrała ich bliskich, złamała im życie. (Książki te w Polsce wydają mi wydawnictwa: Iskry, PIW i Muza). Piszę o pokoleniu, które po wojnie zostało na Zachodzie nie chcąc wracać do komunistycznej Polski, czy nie mając gdzie wracać, bo Kresy zostały zabrane. Pisałam, co się działo z byłymi żołnierzami spod Monte Cassino, z bohaterami od Hubala (tak powstała książka: *Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England, 2013).* Smutne, piękne, dramatyczne, bolesne – nasze polskie losy. Pokazuję wysyłki na Syberię, pobyty w obozach koncentracyjnych, przesłuchaniach na Pawiaku. Piszę o dzieciach, które straciły ojców w Katyniu. Pokazuję losy polskich Ormian, rzeź wołyńską. Wśród wielu sylwetek jest piękna postać Wandy Ossowskiej, piszę też o Żydówce Idzie Grinspan, która 50 lat poszukiwała Wandę – polską pielęgniarkę z Neustadt-Glewe, która uratowała jej życie. Ida dotarła wreszcie do szpitala, kiedy Wanda Ossowska straciła już przytomność i niebawem zmarła. Ida Grinspan w 2002 roku napisała z dziennikarzem francuskim Bertrand Poirot-Delpech książkę o swoich staraniach, by Wandę odnaleźć: *Je n'as pas pleure* (I didn't Cry). Moja książka ukazała

się p.t. *The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come* (dwa wydania: 2013, 2015*).*

J.S-G: Czego ważnego o Polsce i jej historii dowiadują się Amerykanie z tych książek?

A.Z-B: Wydawca napisał mi, że bardzo ceni, że piszę w powściągliwy, serdeczny sposób o dramatycznych losach ludzi, bez komentarzy, bez pouczania. Że każdy może się utożsamić z cierpieniami, które pokazuję przedstawiając losy swoich wybranych bohaterów, że czytelnik wychwytuje najpiękniej i otwartym sercem całą tragedię i reaguje emocjonalnie.

A ja się cieszę, bo pokazuję, że Polacy-chrześcijanie byli w Auschwitz, że ratowano Żydów w ekstremalnych trudnych warunkach, pokazuję losy syberyjskich sierot… I że angielskojęzyczny czytelnik przyswoi sobie te tematy bez sięgania po historyczne rozprawy.

J.S-G: Pani historyczne książki oraz książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazały się w wydawnictwie Lexington Books. Jak doszło do współpracy z tym wydawnictwem?

A.Z-B: Po wydaniu książki indiańskiej i kociej – nastąpił niełatwy okres. Ponad dwa lata szukałam wydawcy na tłumaczenie książki *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego Krzyża*. Po roku

jeden z nowojorskich wydawców przeczytał kawałek, poprosił o drugi – odpisał, że mu się sposób pokazania podoba i chce podpisać umowę, ale jeszcze chciałby mnie spytać – czy na pewno jest to książka o Powstaniu w Getcie?... Nie, to jest o Powstaniu Warszawskim w 1944 roku... napisałam. – To nie będziemy mieli czytelnika, odpisał i wycofał się.

Jakoś nie załamałam się, bardzo chciałam, żeby książka wyszła w amerykańskim wydawnictwie, by dotarła do bibliotek i innych instytucji, co amerykański wydawca zapewnia. Chodziłam do księgarń *Barnes and Noble*, oglądałam dział książek historycznych, patrzyłam, kto wydaje książki o drugiej wojnie światowej, spisywałam wydawców i w internecie znajdywałam kontakt. Wysyłałam kolejne listy, na które dostawałam odpowiedź, że ich temat nie interesuje.

I tak – po ponad dwóch latach – pozytywnie odpowiedziało wydawnictwo *Lexington Books,* które wydaje książki popularnonaukowe. Książka ukazała się pod tytułem: *Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising* (dwa wydania: 2012, 2014). Wydano mi w sumie już cztery książki poświęcone tematyce historycznej, bez żadnego sponsora, w sztywnej okładce, z fotografiami. Dwie mają drugie wydania (w miękkiej okładce).

J.S-G: Czy komentowano Pani książki historyczne?

A.Z-B: Pisał o nich przytaczany na tylnych okładkach, znany na obu półkulach, Zbigniew Brzeziński, a także historycy i autorzy amerykańscy: Neal Pease, Stanley Cloud i Lynne Olson (autorzy tłumaczonej w Polsce książki *Sprawa honoru. Dywizjon 303 Kościuszkowski*), Stanley Weintraub, Bruce E. Johansen, John R.Alley, Matt DeLaMater (autor książek o Napoleonie), Terrence O'Keeffe, Karl Maramorosch, Brytyjczyk Christoph Mick; polskiego pochodzenia historycy, jak Piotr S. Wandycz i Anna M. Cienciała, autorzy: Ewa Thompson, Jerzy R. Krzyżanowski, Charles S. Kraszewski (także tłumacz i poeta), Irene Tomaszewski, Leszek Adamczyk, Florence W. Clowes.

J.S-G: Ma Pani kontakt z amerykańskimi czytelnikami?

A.Z-B: Mam amerykańskich czytelników, nieraz proszą mnie o opinię, sugestie, rekomendacje. Np. na tylnej okładce *Rising Hope* autorka Marie Sontag umieściła moją wypowiedź. Mam też spotkania w księgarniach, pojawia się wtedy lokalna TV i pokazuje potem „migawkę".

J.S-G: Jak przystosowuje Pani swoje książki na tutejszy rynek?

A.Z-B: Nie wprowadzam znaczących zmian, ale czasami muszę dodać kilka zdań. Wyłapuje mi takie fragmenty mój mąż nie mówiący po polsku. Wskazuje, żebym coś uzupełniła, bo nie rozumie „przeskoku myślowego", zrozumiałego dla nas, Polaków.

J.S-G: Pani mąż, Norman Boehm, był już polskim patriotą.

A.Z-B: Norman nieźle znał najnowszą historię Polski. Kilka razy wysyłał listy prostujące różne sprawy, te listy zwykle drukują. Także przed laty włączył się w akcję mobilizacji senatorów amerykańskich, kiedy ważyła się sprawa przyjęcia Polski do NATO. Jest wiele razy cytowany (został tam także podany jego biogram) w książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006).

J.S-G: Jak Pani przekonała wydawcę, aby książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazała się na rynku amerykańskim?

A.Z-B: Kolejno postanowiłam zaproponować książkę – tym razem o Melchiorze Wańkowiczu. Wydawca długo się zastanawiał, czy ją wydać. Pisał mi, że nikt tego pisarza nie zna. Tłumaczyłam, że jest taką postacią w literaturze polskiej, jaką był Hemingway w Stanach – ze względu na osobowość, tematykę swoich książek, popularność czytelników. Wreszcie, po różnych ustaleniach dotyczących treści, wydawca zgodził się.

J.S-G: Czym jest dla Pani wydanie książki o Pani mentorze w Ameryce?

A.Z-B: W książce *Melchior Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word (2013)* jako przykład stylu pisarza przytoczyłam

pierwsze 20 stron jego *Bitwy o Monte Cassino.* Napisałam o polskim reportażu, o procesie 1964 roku – pierwszym procesie intelektualisty w Europie Wschodniej. W czasie procesu protesty składał amerykański PEN Club (Wańkowicz miał paszport amerykański), zabierał głos sentor Robert Kennedy. Na bieżąco pisała o procesie zarówno prasa amerykańska jak i całego świata. Na końcu książki napisałam kilka osobistych wspomnień, anegdoty. Wydaje mi się, że spłaciłam tą książką szczególny dług, kiedy pisarz zawierzył młodziutkiej osobie zapisując jej swoje archiwa. Wyjeżdżał ze Stanów wracając do Polski w 1958 roku krytykowany przez Polonię, że „jedzie do komunistów". Teraz pisarz wrócił do amerykańskich bibliotek.

J.S-G: Książką, którą napisała Pani najpierw po angielsku, a potem przetłumaczyła na język polski jest historia Ingrid Bergman, aktorki spokrewnionej z Pani mężem Normanem Boehmem.

A.Z-B: Odkładałam pisanie książki o Ingrid Bergman (której ojciec Justus, i babcia Normana Blenda, byli rodzeństwem) dobrze ponad 20 lat. Miałam do dyspozycji listy Ingrid pisane do jej cioci Blendy, do syna Blendy, i wnuka (czyli Normana). Miałam ładne opowieści mojego męża, który swoją kuzynkę szczerze podziwiał, lubił i cenił. Spotykali się w Rzymie, w Deauville, w Londynie. Odkładałam pisanie, ważniejsze jakby były tematy polskie, aż wreszcie przeraziłam się, że coraz mniej

ludzi pamięta tę niezwykłą aktorkę, i powinnam nie zwlekać.

J.S-G: Agentka sugerowała wprowadzenie zmian i dopisanie nieprawdy, aby książka się lepiej sprzedawała. Czy myślenie rzetelnego dokumentalisty tak bardzo różni się od myślenia osób związanych z rynkiem książki w Ameryce, że nie było możliwości porozumienia?

A.Z-B: Kiedy miałam tę niedużą książkę gotową, poszukałam agentkę. Zapoznała się z tekstem i dość szybko podpisałyśmy umowę. Niebawem napisała do mnie, że tekst jej się bardzo podoba od początku, ale… jest za mało sensacyjny. Odpowiedziałam, że jest to książka w założeniu spokojna, wyciszona, oparta o wspomnienia rodzinne. Nie pretenduje do wielkiej biografii (dużą kolekcję książek o Ingrid Bergman mam w domu). Swoisty urok tego tekstu jest w cytowanych listach, w których m.in. pisała, co myślała o Włoszech, Szwecji, Stanach Zjednoczonych.

– Może np. dopisz, że Norman się podkochiwał w swojej kuzynce… – zaproponowała moja agentka. – Ależ ja tego nie napiszę, nie mogę tego napisać – odpisałam. – Nie martw się, moja edytorka ci to dopisze – odpowiedziała.

Przeraziłam się, szybko zrozumiałam, właściwie dyskutować było trudno… kolejne sześć miesięcy trwało wycofywanie się z tej

umowy. Napisałam o wszystkim do mojego wydawcy książek historycznych, który odpisał, że oni nie mogą jej wydać, bo wydają książki popularnonaukowe, ale pomogą mi znaleźć wydawcę. I tak się stało. Ukazała się pod tytułem *Ingrid Bergman and Her American Relatives (2013),* wkrótce potem w Polsce pt. *Ingrid Bergman prywatnie* (pięknie wydana przez wyd. Prószyński i S-ka).

J.S-G: W tym roku ukazała się w języku angielskim Pani autobiografia *Ulica Żółwiego Strumienia*, zatytułowana *Love for Family, Friends, and Books* (2015), którą pisała Pani mieszkając z mężem w Dallas w Teksasie. Ludzka pamięć zmienia się w zależności od tego ile razy przypominamy sobie wydarzenia i z którego punktu na nie patrzymy. Czy ukazanie się tej książki po wielu latach od polskiego wydania, spowodowało powrót do osób i historii z Pani życia? Czy gdyby Pani teraz pisała autobiografię, widziała by Pani pewne wydarzenia inaczej?

A.Z-B: Dobrze, że tę książkę napisałam mając 40 lat, nie czekałam, aż się całkiem zestarzeję. Książka jest z założenia serdeczna, o czym we wstępie piszę. Pamięć jest ulotna, różne sprawy inaczej pamiętamy po czasie. Może po latach pamięć jest bardziej „ranliwa”?… W tłumaczeniu zabrałam kilka fragmentów, dodałam inne, np. o roli papieża Jana Pawła II w Polsce, o zmianach, które następowały.

Amerykańskie wydanie na tylnej okładce jest zarekomendowane przez autorkę wielu książek Audrey Ronning Topping, profesora Bruce Johansena. Jesse Flis napisał, …że moje pisanie motywuje wielu Kanadyjczyków by na nowo odkryć swoje polskie korzenie (*The autor's writings have motivated many Canadian citizens to rediscover their Polish roots*). Ładnie, prawda?

Pierwodruk:

PAMIĘTNIK LITERACKI, Londyn, Tom XLIX, wydawca: Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czerwiec 2015. str. 75-81.

Ziele nie szarzeje

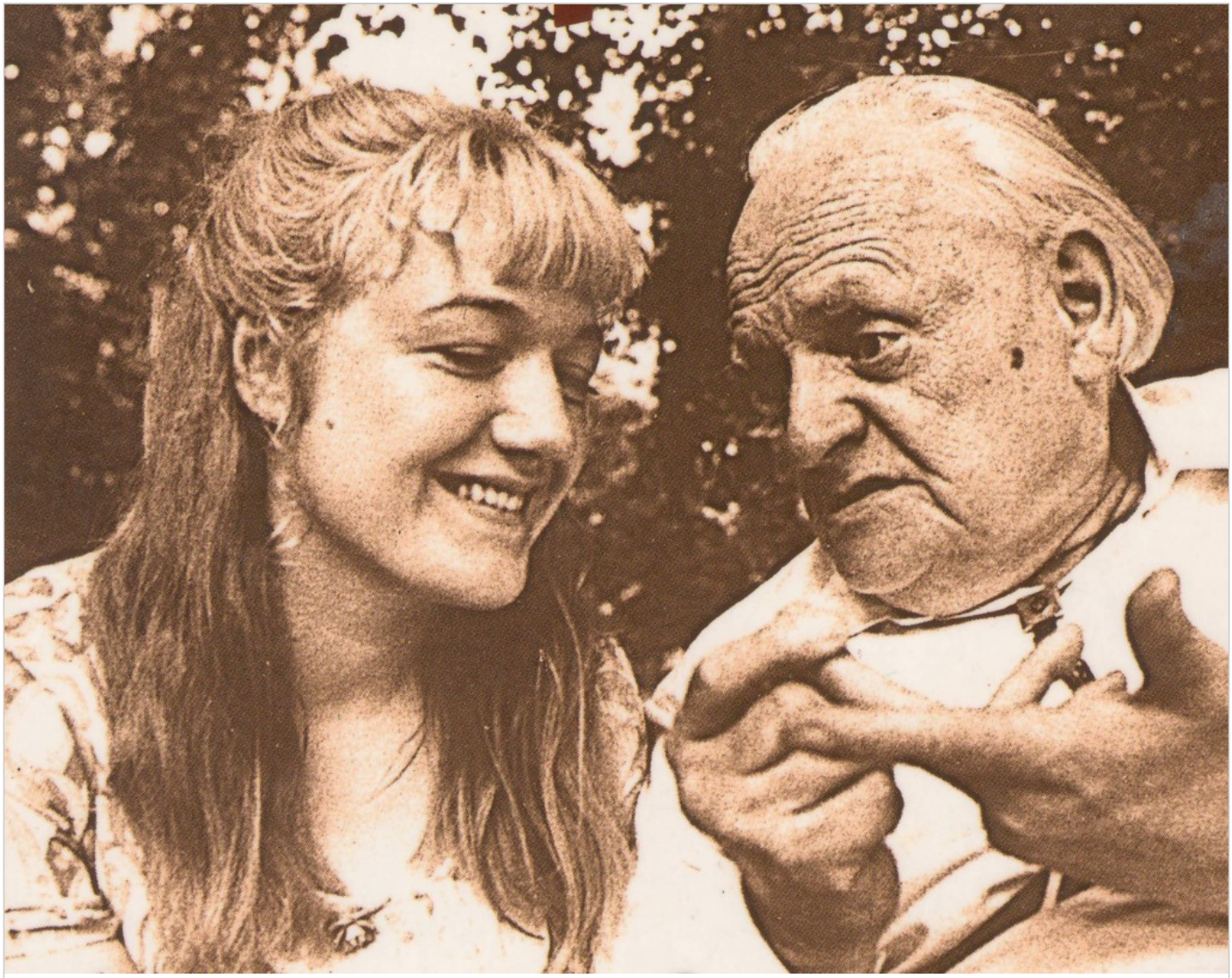

Oleńka Ziółkowska i Melchior Wańkowicz. Oleńka zastąpiła mu utracone córki.

Barbara Wachowicz

„Ziemia polska jest nasiąknięta zapachami, dźwiękami, błyskami splecionymi przez dzieje, których nikt nie wypleni… Poszukuję tematów bohaterskich o ludziach, którzy trwali i przetrwali”. Owe słowa ostatniego co tak pióro wodził – Melchiora

Wańkowicza można także uczynić mottem twórczości Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, świetnej asystentki i sekretarki autora „Ziela na kraterze”, którą wszyscy przyjaciele do grona których mam szczęście się zaliczać nazywają serdecznie Oleńką.

Oleńka. Serdeczność i ciepło, a zarazem żelazna dyscyplina, nieprawdopodobna pracowitość i precyzja działań. Blask, urok i czar, a zarazem bogactwo tematów, poszukiwań, odkryć. Laureatka wielu prestiżowych nagród, wśród których jest „Złoty Exilibris” Książnicy Pomorskiej, Medal Ignacego Jana Paderewskiego przyznany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Arts Award in the Literature Stanu Delaware… Autorka kilkudziesięciu rewelacyjnych książek poświęconych sławnym Polakom na emigracji, bohaterom Powstania Warszawskiego, a nade wszystko Melchiorowi Wańkowiczowi. Stypendystka wielu reprezentacyjnych fundacji – kanadyjskich, brytyjskich, amerykańskich. Doktor Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka współpracująca z czołowymi pismami polskimi, kanadyjskimi, amerykańskimi.

A była skromną studentką wydziału polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego.

„Świadomość istnienia Boga”

W jakim wyrosła domu? Ojciec – Henryk Ziółkowski herbu Korczak, Wielkopolanin, żołnierz 31.Pułku Strzelców Kaniowskich i działacz Obozu Wielkiej Polski, wierny miłośnik historii i literatury. Matka – Antonina z domu Laśkiewiczówna marzyła (jak napisze Oleńka w swojej autobiografii „Ulica Żółwiego Strumienia”) – żeby mieć córkę „która by się dobrze uczyła, miała ciekawy zawód, interesujące życie i aby poznała świat”. Wszystkie te marzenia matczyne miały się spełnić. Oleńka podaje swoją listę wdzięczności. Co zawdzięcza? „Mamie – ducha pobożności i dobroczynności. Ojcu (którego pamięci zadedykowała „Drugą bitwę o Monte Cassino”) – umiłowanie książek i wagę prawości człowieka. Braciom – poczucie bezpieczeństwa i to że zawsze może na nich liczyć. Synowi Tomkowi – tkliwość i odpowiedzialność. Melchiorowi Wańkowiczowi – zainteresowanie światem i ważność pracy”.

O swych latach dziecięcych Oleńka pisze: „Całe wspomnienie dzieciństwa to kościół. Już jako trzyletniej dziewczynce Mama wplatała mi we włosy białą kokardę, ubierała w białą sukienkę z falbankami, zawieszała koszyk z kwiatkami”. I tak mała dziewczyneczka szła w procesji Bożego Ciała. Dom żył obyczajem staropolskim, szlachetnym rytmem świąt. Boże Narodzenie to był opłatek, uroczysta wigilia, pasterka w Łódzkim kościele Dobrego Pasterza. „Małej dziewczynce wydawało się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi” – wspomina Oleńka. Kiedy zwiedziła po raz pierwszy Betlejem opowiada:

„Byłam bardzo przejęta odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się znajdując polskie akcenty w Palestynie, stacje Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła Świętego Piotra Rybaka wzniesionym w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrówki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie". W dniu święta Trzech Króli matka Oleńki zakreślała kredą na drzwiach inicjały imion Kacper, Melchior i Baltazar, co miało uchronić dom od nieszczęścia.

Wielkanoc rozdzwoniona pieśnią Alleluja „obwieszczała światu cudowną nowinę o powstaniu z martwych Jezusa Chrystusa. Wydarzenie to jest esencją wiary wszystkich chrześcijan i leży ono u podstaw istnienia naszej religii. Radosny śpiew «Te Deum» – «Ciebie Boże wychwalamy»". To ulubiona pieśń Oleńki do dziś. Jako dziewczynka wędrowała w pielgrzymce do Częstochowy. „Świadomość istnienia Boga jest silna we mnie i może to jest rodzajem łaski? Wiara, religia, obrządki kościelne – z tym rosłam".

Rosła także na literaturze ojczystej. „Ojciec mawiał, że książki są czymś wielkim. Są życiem, sercem i centrum przemijającego czasu". Przeżyła z braćmi prawdziwą „epokę Henryka Sienkiewicza" – „Z pałającymi policzkami i wstrzymanym

oddechem całymi dniami czytałam przygody Skrzetuskiego, Kmicica, Wołodyjowskiego. Moje koleżanki kochały się w chłopcach, ja kochałam się w bohaterach literackich”. Jej starszy brat otrzymał imiona Henryk Andrzej na cześć autora „Trylogii” i bohatera „Potopu”. Jej młodszy brat Krzysztof został ochrzczony na cześć Kolumba. Nie wiedzieli ilu odkryć w Ameryce dokona ich utalentowana siostra.

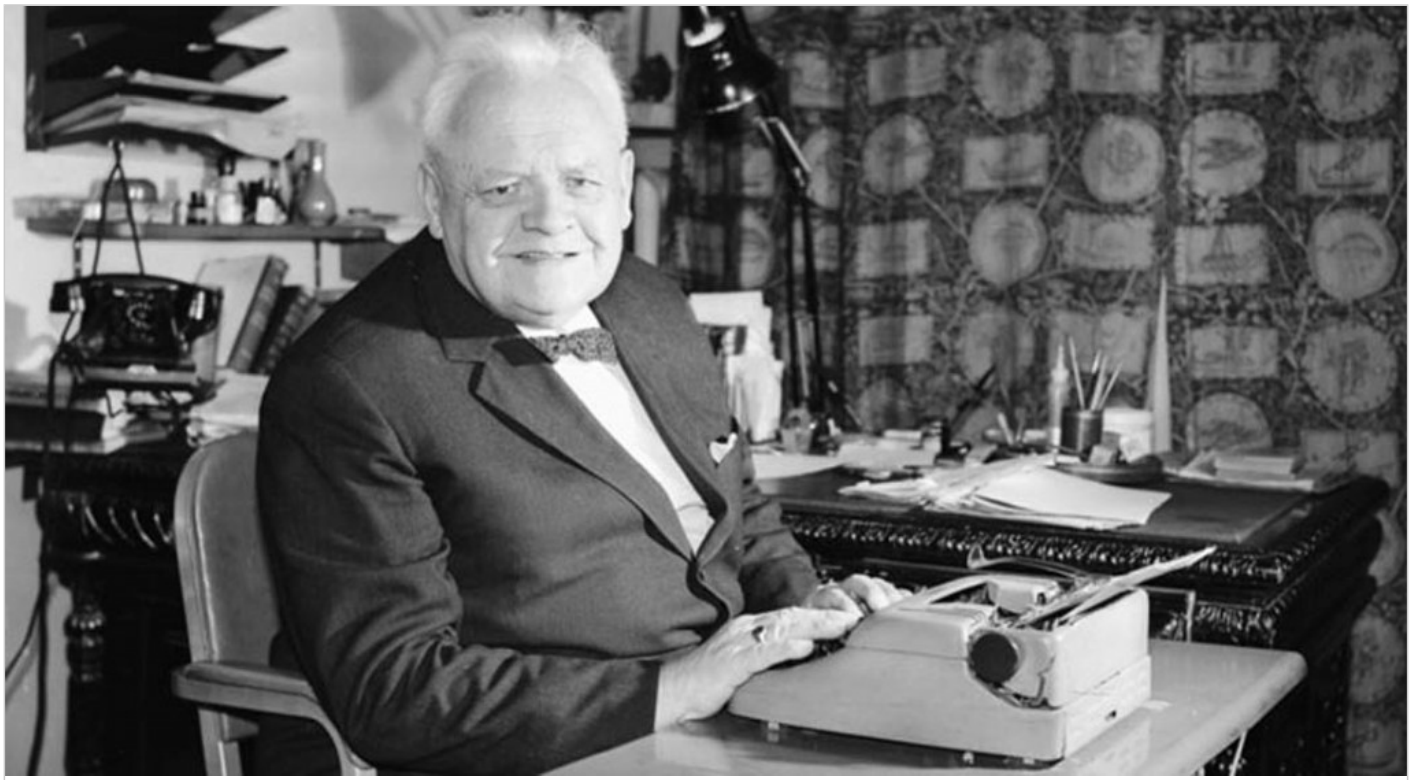

Melchior Wańkowicz przy pracy, Warszawa, 1963 r.. fot. PAP/CAF-Stanisław Dąbrowiecki

Najbliżej Wańkowicza

Wieczory u Pana Melchiora Wańkowicza na Puławskiej.

Zapraszał nas – ku wielkiej radości – na stole zawsze stały przygotowane talerzyki dla ewentualnych gości. Był samotny. Utracił obie córki. Krysia zginęła w Powstaniu, Marta została w Ameryce i była jego wielkim rozczarowaniem. Odeszła z tego świata żona – legendarny, ukochany Królik.

I oto promienny kontrast – dom na Studenckiej, odblask Domeczku z „Ziela na kraterze" – barwy, uśmiech, Oleńka. To ona opromieniła swą osobowością, opieką i sercem ostatnie lata autora „Ziela na kraterze". Zgłosiła się do najpopularniejszego podówczas pisarza polskiego z drżeniem serca podjąwszy jako temat pracy magisterskiej jego twórczość. Pan Melchior przyjął studenteczkę z dużym dystansem. Zaznaczył, że ma 45 minut czasu i krytycznie zaczął sondować jej wiedzę. Oleńka przezornie miała ze sobą eseje jakie już poświęciła twórczości Wańkowicza. Z 45 minut zrobiły się godziny i tak to się zaczęło…

W swej pierwszej książce „Blisko Wańkowicza", która momentalnie podbiła czytelników, Oleńka opowiada o dniach przeżytych z Melchiorem Wańkowiczem wśród pachnących żywicą lasów nad Liwcem, w domu na Studenckiej, który pisarz zdołał zbudować na ostatnie lata swego życia. Odbywały się tam spotkania ze starymi przyjaciółmi, wyprawy na kiermasze łączące, jak wspomni Oleńka, „wielką radość z wielkim utrudzeniem". Zakres prac młodziutkiej magistrantki był olbrzymi – żmudne zbieranie materiałów, obowiązek adiustacji,

nagrywania, przepisywania, porządkowania biblioteki, organizowania archiwum, czuwania nad obfitą korespondencją. W obu Wańkowiczowskich książkach, bo obok „Blisko Wańkowicza” pojawi się potężny tom „Na tropach Wańkowicza po latach”, są wedle autorki „próby poszukiwania prawdy o Wańkowiczu jako pisarzu i jako człowieku”. To znakomita, wnikliwa charakterystyka sławnego pisarza, u boku którego życie było intensywne i różnobarwne. Sędziwy autor „Strzępów epopei” opowiadał Oleńce o jego trudnościach i bólach, i jak je przezwyciężał. „Chciał pokazać, że życie nie jest szare ani różowe, że jest często takie, jakie mu się samemu kolor i sens nada”. Życie w aurze Wańkowicza było pełne kolorów. Żmudny trud Oleńki, jaki włożyła w ostatnią książkę mistrza „Karafka La Fontaine’a” został sowicie nagrodzony – Wańkowicz uroczyście zadedykował tę niezwykłą rozprawę między innymi na temat urody języka polskiego – „Mojej sekretarce magister Aleksandrze Ziółkowskiej”.

Pani magister w znakomitym rozdziale „Na końcu języka” analizuje „Karafkę” ów fascynujący „autokomentarz na temat własnej metody twórczej i warsztatu pisarskiego”. Wspaniałe bogactwo Wańkowiczowskiego słowotwórstwa przywołuje Oleńka cytując jego „inwokację do języka”. Pisze Wańkowicz: „Myślę o nim jak w najcięższych chwilach ten niezauważalny, bo nieodłączny towarzysz podbiega z rozstrzygającą pomocą: słowem, tak siedzącym w celu, że wzruszenie wpływa na jego

soczystość, słowem – patosem, że nagle staje się cisza, słowem – komikiem, który rozrzedził patos, (…) słowem z lamusa wydobytym jak zardzewiały brzeszczot, słowem – wspomnieniem pachnącym saszetkami z heliotropu”.

Jest nieskończenie wiele motywów Wańkowiczowskich analizowanych z pietyzmem przez Oleńkę. Rewelacją stały się jej odkrycia dokonane w Instytucie Pamięci Narodowej – donosy agentów Urzędu Bezpieczeństwa tropiących dosłownie każdy krok sławnego pisarza, relacja na temat procesu jaki wytoczono autorowi „Monte Cassino” w roku 1964 z artykułu „dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”. Akt oskarżenia zarzucał Wańkowiczowi, że przemycił za granicę maszynopis zawierający „fałszywe informacje oczerniające Polskę Ludową”. Po latach, kiedy w roku 1990 Sąd Najwyższy w procesie rehabilitacyjnym wydał wyrok uniewinniający, Oleńka dotarła do prokuratora, który brał udział w procesie Wańkowicza i przeprowadziła z nim pasjonujący wywiad. Ona także przytoczyła przykłady jak dalece pisarz hojnie wspierał działania polskiej opozycji politycznej. Oleńce zawdzięczamy także bezcenne dokumenty czym dla Polaków z Warmii i Mazur stała się książka „Na tropach Smętka”. Przywołała dedykację więźnia łagru, który napisał do Wańkowicza, że jeden z towarzyszy jego niedoli „wykazał bezprzykładny hart ducha i szlachetność serca, dzieląc się ze mną pajdą razowego, na wagę złota cenionego chleba, pod

warunkiem, iż po powrocie do Kraju ofiaruję mu pańską książkę «Na tropach Smętka»”. Córka jednego z bohaterów „Smętka” napisała Wańkowiczowi: „Kiedy Niemcy wyrzucili nas matka wzięła ze sobą tylko tę książkę. Umiałam ją niemal na pamięć. Ileż Panu zawdzięczam w tych latach nocy i pogardy. Ile siły i miłości Polski czerpałam z tej książki!”.

Na wieczorze Oleńki Ziółkowskiej-Boehm w warszawskiej księgarni podczas jej ostatniego pobytu w Polsce powiedziałam, że koniecznie powinna napisać jeszcze książkę o listach do Wańkowicza. (Pisarz w testamencie zostawił Oleńce całe swoje archiwum). W książce o nim cytuje niektóre z tych niezwykłych cimeliów poczynając od antologii nieprawdopodobnych adresów: „Melchior Wańkowicz. Warszawa” z dopiskami na kopertach: „(resztę powinien znać każdy warszawski listonosz)”, „Każde dziecko wskaże”, „Polski Pisarz Narodowy”, „Wielmożny Pan Melchior Wańkowicz – potężny utalentowany pisarz, myślący, mądry, zacny, Polak i człowiek!”.

Zacytowała Oleńka także wiersz, który ucieszył adresata:

Mistrzu Niepowtarzalny, Wirtuozie pióra,

Pejzażysto barw, światłocieni słów,

Kronikarzu doli człowieka,

Uśmiechów, radości i łez.

Nad Tobą czas się nie zamknie,

Pióro nie ostygnie,

Karafka nie wyschnie,

Ziele nie zszarzeje.

To wielka zasługa Oleńki, że barwy „Ziela” nie szarzeją. Dzięki jej niestrudzonym wysiłkom ukazała się korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną. Oleńka napisała to, że Wańkowicz „kochał kobiety jak kwiaty”. Cytuje też słowa profesora Tatarkiewicza z rozprawy „O szczęściu”, iż „szczęście mężczyzny polega na właściwej kobiecie”. Pani Zofia Wańkowiczowa, jako młoda matka, pisze: „W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia”. My, wierni czytelnicy „Ziela na kraterze”, niezłomnie w tę miłość wierzymy.

Finałowym akordem dzieł Oleńki poświęconych Wańkowiczowi jest jej świetna książka, która ukazała się po angielsku w Ameryce. Udało jej się uchwycić wszystkie cechy wspaniałej osobowości pisarza, który mówił o sobie: „Uprawiam pisarskie

zielarstwo. Zbieram żywokost, rumianek, chodzę o świcie po rosie, jeszcze przy księżycu. To moje farby, kolory, zapachy. To zew krwi, pożywienia, tradycji…”.

Modlitwy Oleńki

Bohaterowie Wańkowicza otrzymali od Oleńki przedłużenie swego życia. Dowiedzieliśmy się dzięki jej książkom jaki był los Hubalczyków, takich jak Rodziewicz, Alicki, Szymański – bohaterowie rozdziału „W cieniu legendy Hubala”, z książki „Lepszy dzień nie przyszedł już”, bohaterowie bitwy o Monte Cassino, bohaterka Powstania Warszawskiego „Kaja od Radosława”, która przez 54 lata chroniła Hubalowy Krzyż Virtuti Militari. Wańkowicz opisując losy żołnierzy polskich po wojnie powiedział: „Ciężko jest żołnierzowi zamienić sztandary na szuflę, zwłaszcza obcą. Ciężko jest pisarzowi, który pisał jak sztandary łopoczą na wichrze, zejść do dławiącej w gardle szarości”. Opisując losy Hubalczyków Oleńka odnalazła wiele niezwykłych kolorów w tej szarości, do której zepchnął ich los. Jest w jej książkach cała plejada naszych rodaków, którzy zapisali najpiękniejsze karty życia w Polsce i poza jej granicami.

Szczęśliwa trójka – Oleńka z mężem Normanem i synem Tomkiem

Oleńka mieszka w Stanie Delaware ze swoim mężem Normanem Boehm (zm. w maju 2016 r., red.), kuzynem sławnej aktorki Ingrid Bergman. To bardzo szczęśliwe i udane małżeństwo. Miałam szansę obserwować Normana i wzruszać się jego opiekuńczością, tkliwością i adoracją jakie okazuje żonie. Jest także Oleńka szczęśliwą matką Tomka, który zrobił światową karierę jako wybitny fotograf i dziennikarz. Potrafi napisać na Dzień Matki: „Najukochańsza Mamo – kocham i dziękuję za wszystko”.

Oleńka ma swoją własną modlitwę: „Dzięki Ci Boże za życie, za zdrowie, za łaski, za Tomka, Rodziców, Rodzinę, Normana, dom rodzinny, za ludzi, którzy mnie kochali, którzy mi pomogli, za brak wojen i klęsk wokół mnie, za przyrodę, słońce, las, oceany, za dobre myśli, za to, że ból zapomniałam, że dane mi było kochać”…

I jest jeszcze jedna piękna modlitwa Oleńki, która zwiedziła dziesiątki krajów świata. Oto co pisze jadąc drogami Teksasu: „I przypominam sobie pola i lasy w Lipcach Reymontowskich, szum dojrzałego zboża, smak rozgrzanych jagód, jeżyn zrywanych w Radziejowicach, śpiew ptaków w Lesie Kabackim, ciszę i urok Parku Wilanowskiego, białe brzozy w Nieborowie, kształt drzew w Łazienkach, zapach bzu i jaśminu z ogrodu mojego dzieciństwa, zapach powietrza w Tatrach po deszczu”. To jest wielka tajemnica przemożnej polskości, której wiernym ambasadorem jest Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem organizowali Kościuszkowski wieczór Barbary Wachowicz w Filadelfii

Miesięcznik Polskiego Związku Kobiet Katolickich – „List do Pani” ,

Nr 7/8 (236) 2015, str. 28-30.